Uniwersytet Gdański Biblioteka
C IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 16 maja 1948 r. | Nr 20 (129)

W NUMERZE NA STR. 6 – 7:
Członkowie jury nagrody im Wł. Pietrzaka o Laureatach

ROZMOWA

Na jednym z zebrań redakcji „Dziś i Jutro" przeprowadzono rozmowę, którą streszczamy poniżej. Uważamy za słuszne zapoznać z nią czytelników naszego pisma.
Redakcja

Wacław. Zbyt jest łatwo wypierać się przeszłości. Bez złudzeń — nikt od niej nie ucieknie. To czym byliśmy do roku 1939, to co reprezentowaliśmy podczas wojny, zawsze pozostanie jako „winien" lub „ma" na bieżącym rachunku naszej działalności.

Benedykt: No, owo „ma" było...

Wacław: Większe niż ci się zdaje. Wiele z naszych tez już przed wojną stało się własnością różnych odłamów społeczeństwa. Mnie jednak chodzi w tej chwili o coś innego. Istnieje obiektywna konieczność stwierdzenia jaką przeszliśmy ewolucję.

Wojciech: Czyśmy rzeczywiście tak bardzo się zmienili?...

Benedykt: No, wiesz, tylko środowisko idiotów nie zrewidowałoby na przestrzeni 8-u lat całego szeregu swoich założeń. Musieliśmy przejść ewolucję.

Wacław: W każdym razie trudno te rzeczy ujmować ilościowo, w kategoriach „bardzo" czy „nie bardzo". Na pewno nie we wszystkich dziedzinach zmieniliśmy się jednakowo. Ostatecznie po dawnemu wysuwamy zasadę służby narodowi po dawnemu staramy się zachować pewne cechy tego samego typu psychicznego co kiedyś, charakteryzującego się bezkompromisową konsekwencją działania w stosunku do przyjętych zasad. Niewątpliwie natomiast pogłębił się nasz związek z katolicyzmem, znikły tendencje totalistyczne, zmienił się stosunek do Żydów. Z punktu widzenia nowych doświadczeń politycznych inaczej patrzymy na Rosję. Najciekawszy może jest wynik tych zmian w odniesieniu do komunistów...

Kazimierz (przerywa): Moi panowie — są rzeczy aktualniejsze. My w ogóle nie mamy wyczucia aktualności. Co do mnie zawsze słucham mojej mleczarki. Ma niesłychane wyczucie właściwego kierunku politycznego. Wbrew ogólnie przyjętym opiniom Polacy posiadają doskonały zmysł polityczny. Moja mleczarka...

Wacław: Dajcie spokój z naiwnymi symplifikacjami. Spokojnie. Są rzeczy, których nikt za nas nie zrobi. Kazik umyślnie stara się źle zrozumieć. W kwestiach aktualnych porozumienie jest zawsze łatwiejsze. Powtarzam jednak, istnieje obiektywna konieczność przyjrzenia się ewolucji środowiska.

Weźmy choćby nasz nacjonalizm. Różnica w stosunku do poglądów przedwojennych jest tu bodaj najmniej widoczna, choć niesłychanie ważna. Pozbyliśmy się wszelkich skłonności do szowinizmu...

Benedykt: Nie wszyscy.

Wacław: Głosimy jednak tę samą zawsze zasadę służby interesom kulturalnym i gospodarczym narodu. W tym właśnie jest nasz nacjonalizm.

Jan: Stanowczo protestuję! Jesteśmy środowiskiem katolickim, nie możemy więc stawiać po dawnemu narodu jako wartości najwyższej. Nawet w kategoriach dzisiejszych nacjonalizm...

Benedykt: Tylko bez tej terminologii...

Wacław: Jeśli znajdziesz lepsze słowo... Mnie chodzi o rzeczy zupełnie wyraźne. Janek ostatecznie ma rację. Przyjmując jednak, że naród, jako zjawisko socjologiczne zajmuje określone miejsce w hierarchii wartości...

Jan: Chyba, że tak...

Wacław: Trzeba jasno powiedzieć, że inaczej rozumiemy zasadę służby narodowi, inaczej określamy obowiązki patriotyczne. Jeśli przed wojną za naczelne zadanie uważaliśmy wywyższenie narodu, nie licząc się z kosztami bliższych lub dalszych sąsiadów, to dziś rozumiemy, że ani warunków rozwoju, ani nawet ochrony minimalnych praw biologicznych własnego społeczeństwa niesposób uzyskać bez współdziałania z innymi.

Zasada ta dotyczy zresztą w równej niemal mierze państw małych jak i dużych. Jedność świata staje się tendencją silniejszą niż narodowe egoizmy. Nawet najpotężniejsi muszą się liczyć z tym wszystkim co jest poza nimi.

Na wiele rzeczy trzeba naprawdę spojrzeć inaczej. W grę weszły siły nieproporcjonalnie większe niż kiedykolwiek przedtem. 24-rem milionom mieszkańcom Polski z pewnością nie zagwarantuje bezpieczeństwa własna armia, choćby była okupiona kosztem najbardziej heroicznych wyrzeczeń. Umiłowanie własnego narodu; zdaniem naszym winno przypominać stosunek do własnej rodziny. Chcąc zapewnić rodzinie możliwie największą skalę kulturalną i materialną, trzeba działalnością i pracą wyjść poza rodzinę. Inaczej grozi wegetacja. Potrzebny jest maksymalny wkład w dorobek naukowy i kulturalny świata. Znaczenie organizmu politycznego opiera się dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek na ocenie jego twórczości duchowej i cywilizacyjnej, skali poziomu życia społecznego, osiągnięć gospodarki przemysłowej i produkcji żywności. Biorąc przykładowo, pewność utrzymania przy Polsce Ziem Zachodnich zwiększa się z uruchomieniem każdej nowej fabryki, ze zwiększeniem areału rolnego, z odbudową dróg i mostów, ze wzmożeniem akcji osadniczej. To są fakty i one liczą się przede wszystkim.

Kazimierz: Co to ma jednak wspólnego z nacjonalizmem?

Wacław: Niezmienna jest zasada służby. Trudno ją określić inaczej niż nacjonalistyczna, choć operuje odmiennymi niż dotychczas pojęciami i wyraża się w programie działania dostosowanym do poziomu naszych doświadczeń.

Benedykt: No więc ustalmy inną terminologię.

Wacław: Ważniejsze jest, że stosunek do narodu łączy się z kwestią radykalizmu. W chwili obecnej staje się to wyjątkowo ważne. Otóż trzeba stwierdzić, że w tej dziedzinie poglądy nasze uległy tylko niewielkiej korekcie. Ostatecznie zawsze staliśmy na stanowisku konieczności reform w imię sprawiedliwości społecznej. Te same sprawy: reformy rolnej, upaństwowienie kluczowego przemysłu i kredytu, uspołecznienie przemysłu średniego i handlu hurtowego znaleźć można jako wytyczne tak zwanego „zielonego programu" z 1937 r.

Kazimierz: No, więc w tej dziedzinie nie różnimy się od marksistów.

Wacław: O przepraszam. Sposób przeprowadzenia w Polsce reform społecznych z punktu widzenia naszego światopoglądu wymaga szeregu korekt.

Inaczej także patrzymy na dynamikę obecnego modelu gospodarczego Polski.

Wojciech: Posługiwaliśmy się dawniej raczej skrótem upowszechnienia własności.

Wacław: Upowszechnienie własności może dotyczyć jedynie dążenia do stworzenia takich warunków, w których każdy będzie mógł posiadać własność użytkową w szerokim zakresie tego słowa. Jasnym jest natomiast, że upowszechnienie własności nie może polegać na obdzieleniu każdego fabryką. Ostatecznie w zakresie spraw społeczno-gospodarczych chyba najmniej jest w naszym zespole różnic. Doszliśmy tu do wspólnych założeń.

Benedykt: Wątpię. Ja z Kisielewskim zawsze będziemy woleli indywidualistyczny liberalizm, wy zaś skłaniacie się, jak zresztą zawsze do totalizmu.

Wacław: W każdym razie w mniejszym stopniu niż ci się wydaje. Twoja niechęć do planowania gospodarczego czy politycznego jest nam ostatecznie wszystkim znana.

Benedykt: Tak jak znany jest twój totalizm.

Wacław: Myślę, że się mylisz. My wszyscy dostrzegliśmy zwłaszcza w czasie wojennego pogłębienia katolicyzmu, że sfera wolności jednostki winna być większa niż przypuszczaliśmy początkowo. Dziś nie rościmy sobie prawa do decydowania o szczęściu człowieka. Nie wierzymy także, aby jakikolwiek zespół ludzki mógł uszczęśliwić masy wymyśloną przez siebie doktryną. Wartość życia w danym ustroju należy oceniać nie z punktu widzenia warstwy kieru

Wytyczne

* * *

Dla ludzi walczących o realizację miłości w życiu społeczeństw czasy współczesne stanowią okres trudnego wyboru i trudnych decyzji. W atmosferze konfliktu, przeciwstawnych interesów prawda bywa pomieszana z fałszem, egoizm z postawą służby. Wybieranie własnej drogi, drogi słusznej wśród przeciwieństw współczesnego życia jest tak trudne, że ludzie często rezygnują z decyzji. Zamykają oczy, zatykają uszy głuszą poczucie odpowiedzialności, starają się być nieobecni.

Z naszej jednak postawy wynika, że świat stale musi być przezwyciężany. Życie, pełne życie winno przezwyciężać zło, niedostatek, cierpienie. Dla katolików życie takie może być tylko życiem wiary i łaski. Dlatego Święto Ducha Św. wychodzi najbardziej naprzeciw potrzebom współczesnej ludzkości. Jesteśmy głodni olśnienia prawdą, wola nasza ciągle jest słabsza niż zakres naszej odpowiedzialności. Tylko dary Ducha Św. mogą być źródłem siły niezbędnej dla wykonania naszych zadań.

W świecie...

PALESTYNA NADAL KRWAWI

Kilka zaledwie dni dzieli nas od 15 maja — dnia zakończenia brytyjskiego mandatu w Palestynie — a ONZ nie wynalazł żadnego skutecznego sposobu zapobieżenia chaosowi po tym sakramentalnym terminie. W dniu tym ma rozpocząć swą działalność już sformułowany rząd żydowski i równocześnie wojowniczy a mało odpowiedzialny król Transjordanii przekroczyć ma ze swym wojskiem granicę Palestyny, by zapobiec jej podziałowi na arabską i żydowską. Tymczasem Komisja ONZ miota się w bezsilnych dyskusjach, które nic nie rozstrzygają i nic nie rozstrzygną, gdyż Rada Bezpieczeństwa nie ma siły zbrojnej zdolnej egzekwować posłuszeństwo jej orzeczeniom. W ONZ mówi się o wszystkim, ale nie o uformowaniu międzynarodowej armii. Bez załatwienia pozytywnego tej sprawy — nie załatwi się ani Palestyny, ani żadnej innej krwawiącej kwestii. — Nie pomylimy się przewidując w Palestynie wybuch wielkiej wojny domowej, w trakcie której raptem jedynym sposobem zapewnienia pokoju ludności żyjącej w tamtym kraju okazać się może powtórna okupacja wojsk brytyjskich. Na wojnie domowej Arabów z Żydami — skorzysta tylko Wielka Brytania, stracą obaj przeciwnicy, — a wszystko dlatego, iż narody Środkowego Wschodu nie potrafią sobie nałożyć kagańców swemu wybujałemu nacjonalizmowi.

TRZY BLOKI

W Hadze odbył się tzw. kongres Stanów Zjednoczonych Europy. Zainaugurowała go mowa Churchilla domagającego się utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy, z udziałem Niemiec, lecz pod kierownictwem Wielkiej Brytanii. Uczestnicy takich Stanów winni ograniczyć swą suwerenność narodową. Churchill atakując ZSRR oświadczył, iż świat winien być w tej chwili podzielony na trzy bloki: radziecki, Stany Zjednoczone Europy i amerykański. Zdaniem Churchilla bloki te będą filarami pokoju. — Naszym natomiast zdaniem podział świata na jakiekolwiek bloki czy strefy w krótkim czasie doprowadzi do gigantycznej katastrofy wojennej, jedynym zapobieżeniem której może stać się „jeden świat".

KONIEC PAN-AMERYKI

Konferencja pan - amerykańska w Bogocie zakończyła się podpisaniem umowy przewidującej utworzenie „organizacji państw amerykańskich" jako organizacji regionalnej ONZ. Tym samym zakończył samodzielny żywot utworzony przed 58 laty Związek Panamerykański.

OBRONA „VETO"

Członkowie Kongresu USA wnieśli do Izby Reprezentantów projekt rewizji karty ONZ. Marshall wypowiedział się przeciw radykalnym poprawkom Karty ONZ dokonywanym bez zgody ZSRR, co oznaczałoby likwidację Narodów Zjednoczonych. Likwidacja ONZ — wg. Marshalla— osłabiłaby USA i wystawiłaby Stany na poważne niebezpieczeństwo.

TRAKTAT Z AUSTRIĄ

Prace zastępców min. spraw zagranicznych obradujących nad traktatem z Austrią uległy przerwie, wskutek zbyt wielkiej różnicy zdań między przedstawicielem ZSRR a resztą uczestników obrad na temat żądań Jugosławii odnośnie Słoweńskiej Karyntii. Delegacja ZSRR popiera żądania jugosłowiańskie domagające się dla swego państwa Karyntii. Delegacje inne — sprzeciwiają się temu.

Czytajcie
„SŁOWO POWSZECHNE"

jącej, ale ze względu na szczęście jakie ten ustrój dać może jednostkom postanowionym najniżej w hierarchii państwowej czy gospodarczej.

Zespół rządzący winien wyrażać pragnienia i potrzeby mas a działalnością swoją służyć w zaspakajaniu ich potrzeb.

To chyba jest odejście od totalizmu.

Benedykt: A jednak jest w środowisku tendencja do ujmowania wszystkiego „pod jeden strychulec".

Wacław: To frazes. Ludzie zbyt epatują się poszukiwaniami coraz nowych rozwiązań i dlatego tak często wpadają w neurastenie. Trzeba zrozumieć, że niezależnie od wspólnoty sformułowań łączy nas i łączyć musi wspólność postawy psychicznej. Zasadniczą cechą tej postawy jest wewnętrzna konieczność przemieniania stosunków na świecie na lepsze. Za istotne w każdym razie uważam to co już podkreślałem — w naszej mentalności konsekwencja przyjęcia pewnych zasad jest podjęcie działania dla ich realizacji.

Wojciech: W tym miejscu łatwo porozumiałbyś się z marksistami

Wacław: Oczywiście. Przed wojną stosunek nasz do komunistów sprowadzał się po prostu do głoszenia wrogich haseł i do akcji ulicznych. Nie docenialiśmy ani ludzi ani koncepcji. Nie zamierzaliśmy ani z nimi dyskutować ani szczegółowo analizować ich doktryny. Obecnie stosunek niekoniukturalnych marksistów do własnej idei budzi w nas szacunek, przez swą konsekwencję i zdolność do wyrzeczeń.

Wojciech: To na pewno! Ale w gruncie rzeczy reprezentujemy zupełnie odmienne postawy światopoglądowe. Rozumiem konieczność i uznaję słuszność współdziałania politycznego z obozem marksistów w pewnych zakresach. Trudno jednak pogodzić spirytualizm katolicki z materializmem, uniwersalizm z teorią kolektywów, upowszechnienie własności z wytycznymi ekonomiki diamatu.

Jan: Komunizm jest przy tym zjawiskiem typu religijnego. Można niemal mówić o założycielach i ojcach tego „kościoła", o wyznawcach, a nawet męczennikach.

Wacław: Porozummy się o co chodzi. Katolicyzm jako religia i system filozoficzny nie jest i nie będzie podobny do marksizmu. Trudno też sobie wyobrazić, by ktoś na serio chciał z sobą te dwa systemy pogodzić filozoficznie. Przypuszczam, że nie jest to nikomu potrzebne. Stwierdzam tylko, że po pierwsze:

w komunizmie jako systemie są osiągnięcia, które wejdą na stałe do ogólnego dorobku myśli ludzkiej.

Po drugie:

widzę możliwość ekspansji katolicyzmu na marksistów.

Oba te stwierdzenia mają swe daleko idące konsekwencje. Trudność polega na tym, że jesteśmy często jako katolicy za mało atrakcyjni dla naszych antagonistów ideowych. W każdym razie podkreślam konieczność ekspansji ideowej w kierunku marksistów.

Benedykt: Proszę tylko bez marzeń.

Wacław: To nie jest całkiem nierealne. Marksizm jest ogromnie ciekawym systemem eksplikatywnym. Słaby jest jako zespół norm. Jeśli do nich sięga, łatwo zamienia się w twór sztuczny. Tymczasem typ psychiczny marksistów wymaga zespołu wierzeń. Dlatego nota bene tak jest przykry widok marksizmu zwulgaryzowanego, w którym wyznawcy już wierzą w to co mieści się jeszcze w kategoriach ściśle intelektualnych. Katolicyzm natomiast nawet jako system dostępny poznaniu rozumowemu mocny jest przede wszystkim w swoich aksjomatach, jakże konsekwentnie zbudowanych. Przy tym normy katolicyzmu odpowiadają mentalności najbardziej zwartych wewnętrznie indywiduów. Stąd możność ekspansji wśród marksistów istnieje. Powtarzam tylko, będzie to możliwe dopiero wówczas gdy bardziej atrakcyjni staną się katolicy i gdy docenią konieczność posiadania współczesnego wyjaśnienia świata.

Kazimierz: Wacław już całkowicie zginął w sferze analiz doktrynalnych. Ostatecznie warto by choć parę słów poświęcić konsekwencjom praktycznym...

Wacław: Tak, ale w tym miejscu chyba tylko istotnie parę słów. Niewątpliwie, niezależnie od marksistów istnieje kwestia rządu. Formułując najogólniej z reżimem łączy nas stosunek do Ziem Odzyskanych, ocena położenia międzynarodowego Polski, zdecydowana wola odbudowy gospodarczej kraju i na razie tyle, reszta...

Jan: A Rosja?

Benedykt: Nie warto łączyć tych zagadnień. Rosja jest przede wszystkim zagadnieniem politycznym.

Kazimierz: Co my właściwie o Rosji wiemy? W społeczeństwie polskim nieznajomość Rosji uchodzi niemal za sprawdzian „dobrego tonu". Poważna literatura o Rosji właściwie nie istnieje.

Wojciech: Benedykt ma rację. Rosja jest istotnie przede wszystkim problemem politycznym. Dlatego mniej mnie interesuje jako siła ideowa, która zresztą niewątpliwie jest. Sprawy jednak polsko - rosyjskie są starsze niż zagadnienie komunizmu. Mam przy tym wrażenie, że przed wojną nie docenialiśmy tego zagadnienia

Jan: Tego bym nie powiedział. Tradycje też Dmowskiego...

Wojciech: Dmowski jednak nie chciał widzieć w Rosji państwa wojującego proletariatu. W swych poglądach na stosunki polsko-rosyjskie niemal nie dostrzegał października 1917 r. Od tego czasu walka międzynarodowa silniej sprzęgła się z ruchami społecznymi.

Jan: Zapewne. Ale ustawienie Polski wynikać musi w pierwszym rzędzie z faktu, że sąsiadujemy z organizmem politycznym wielokrotnie silniejszym, który zawsze w polityce światowej odgrywać będzie ogromną rolę. I to Dmowski rozumiał doskonale, jak również zdawał sobie sprawę ze znaczenia sojuszu polsko - rosyjskiego wobec imperializmu Niemiec. Jeśli trudno było mu przekonać nawet zdecydowanych zwolenników, to dlatego, że uraz niewoli był silniejszy.

Wacław: Wojtek ma jednak trochę racji. Nas nie stać na zapominanie o światowej rozgrywce. I to trzeba powiedzieć jasno: ideowo nic nas nie łączy z kapitalizmem. Natomiast politycznie...

Jan: Politycznie Dmowski miał rację...

Wacław: Politycznie najważniejszy jest fakt geograficzny — sąsiadujemy z Rosją bezpośrednio. I jeszcze jeden fakt zasadniczy — mamy wspólne interesy na terenie Niemiec. To zresztą zaczyna przenikać do świadomości nawet ludzi niewyrobionych politycznie. Najtrudniejsze do przełamania są niewątpliwie urazy psychiczne. Tylko, że polityk musi rozumować realnie. Fakty zmienić można tylko nowymi faktami. Osobiście nie przewiduję jakiegoś miażdżącego, wszystko co zaszło ich strumienia. Współczesnym naszym zadaniem jest Zachód i Ziemie Odzyskane. Tu zaś współdziałanie z Rosją jest niezbędne. I mnie się wydaje, że to przekracza granice koniunktury.

Kazimierz: Ja jednak za najważniejszą ewolucję uważam zmianę stosunku do człowieka. Inaczej patrzymy na jednostkę. Przestaliśmy traktować ją jako jedną z komórek narodu obdarzonego samoistnym bytem. Człowiek jest dziś dla nas wartością samą w sobie, choć nie absolutną, jak dla indywidualistów.

Benedykt: Czy każdy człowiek? A Żydzi...

Wacław: Jednak każdy. Antysemityzm przestał być dla nas problemem. Wyszliśmy w stosunku do Żydów z postawy nieprzemyślanej emocji. Nic nie zakładamy a priori. Na każdą jednostkę patrzymy obiektywnie i dopiero konfrontacja jej czynów z naszym rozumieniem dobra społecznego wyznacza ocenę.

Benedykt: Jeśli mamy być rzeczywiście uczciwi, możemy wytłumaczyć każdemu, że ta nienawiść jest barbarzyńską zbrodnią.

Wacław: Nie rozpraszajmy się wśród zagadnień realizacyjnych. Omówimy je przy okazji. Tu tylko zwracam uwagę, że akcja prasowa w tej dziedzinie musiałaby być prowadzona bardzo subtelnie, bo nawet mając „dobre chęci" łatwo oddać tej istotnie ważnej kwestii niedźwiedzią przysługę. Benedykt jednak może być spokojny. Doszliśmy do rozumowego, wolnego od nienawiści lub choćby tylko niechęci a priori sposobu traktowania Żydów. Rozumujemy w stosunku do nich w ten sam sposób, co w stosunku do każdego...

Benedykt: Czy zawsze, bo...

Wacław: Zawsze! Mogę cię zapewnić. Choć nie dziwi mnie twoja nieufność. To bardzo ciekawe, ale od czasów „Falangi" tłumaczono sobie nasze postępowanie najbardziej nieraz skomplikowanymi przyczynami, odrzucając z góry możliwość przypuszczenia, że jesteśmy szczerzy.

Kazimierz: No wiecie, dobrzy jesteście. Przecież my tu, pracując ze sobą od dawna rozmawiamy już z godzinę o rzeczach bądź co bądź wszystkim znanych, a was zastanawia nieufność ludzi bardziej oddalonych. Spójrzcie realnie...

Wacław: Realnie wyrażamy nie tylko własne poglądy. Niewątpliwie reprezentujemy część społeczeństwa. Celem dzisiejszej dyskusji jest między innymi i to, by zdać sobie sprawę z kierunku tych przemian, które nurtują ludzi bliskich nam przeszłością. Istotne jest przy tym, by dokładnie zinwentaryzować to wszystko, co stało się naszym dorobkiem.

Benedykt: I tak ci nie uwierzą. Zawsze będą dostrzegać przede wszystkim taktykę.

Wacław: No dobrze, ale w ten sposób nie można rozumować. Istnieją obiektywne racje, dla których ewolucję grupy można zrozumieć.

Benedykt: Tylko czy taką ewolucję?

Wacław: Właśnie taką. Wyznaczają ją fakty, konkretne, łatwe do empirycznego zbadania fakty. Najważniejsze z nich są trzy.

Po pierwsze, choć zawsze byliśmy ruchem, który jako jeden z pierwszych przyjął za podstawę programu katolicki pogląd na świat, wojna zaktywizowała naszą postawę katolicką. Zarówno przeżycia indywidualne, jak losy całości zespołu związały nas mocniej niż dotychczas z religią. To musiało dać dobre konsekwencje, przede wszystkim konsekwencje programowe. Przecież to oczywiste i nie mogę zrozumieć, dlaczego tak trudno jest wielu z nas w to uwierzyć. Że niby religia i polityka, że... Absurd! Każdy wie w jak wielu ludziach wojna wyzwoliła uczucia religijne, a my byliśmy do tego z wielu względów predestynowani.

Jan: Nie wszyscy.

Wacław: Ale większość. Predestynowani i wiekiem i typem psychicznym. Nic więc dziwnego, że i sformułowania uległy zmianom...

Po drugie w czasie wojny byliśmy środowiskiem walczącym w najprostszym tego słowa znaczeniu. W dwuletniej akcji naszej partyzantki, w oddziałach naszych w Powstaniu Warszawskim zginęła olbrzymia większość przedwojennego środowiska. Krew najlepszych naszych towarzyszy stanowi najbardziej osobisty argument dla dokonania krytyki i pogłębienia własnej postawy ideowej.

Po trzecie na przestrzeni ośmiu czy dziesięciu lat, toczące się wypadki pozwoliły nam skonfrontować każde niemal założenie z nadchodzącą rzeczywistością. Wiele punktów „zielonego programu" zostało w tym okresie przez kogoś wypróbowane. To stanowiło sprawdzian. Przecież od podstaw ideowych i tez politycznych do sformułowań programowych mogliśmy oglądać konsekwencje życiowe wielu z naszych założeń. I mogliśmy wybierać, choć za wybór płaciło się nieraz tragicznie dużą cenę. Dlatego ewolucja nasza jest pozakoniunkturalna. Dlatego jest przy tym mocno ugruntowana. Dlatego przy niezmienności imponderabiliów trwać będziemy w poszukiwaniu i realizowaniu coraz lepszych, coraz pełniejszych rozwiązań.

podał M. K.

Za duszę

ś. † p.

Andrzeja Gluzińskiego

abs. medycyny U. W., żołnierza A. K. poległego dnia 19 sierpnia 1943 r. w Puszczy Kampinowskiej, odprawiona zostanie dn. 16 maja, jako w dniu imienin. Msza Św. o godz. 9 w kościele parafialnym w Łomiankach, po czym odbędzie się poświęcenie grobu na miejscowym cmentarzu wojskowym.

Andrzej Bobkowski

„POŻEGNANIE"

Poniżej zamieszczamy przedruk art. Andrzeja Bobkowskiego z wychodzącego w Paryżu mies. „Kultura" (Nr. 5). Stanowi on obraz zarówno swoistego poglądu na sprawy kraju, jak przede wszystkim kryzysu kultury i myśli politycznej na Zachodzie.

Zapukał do drzwi mojego pokoju i wszedł. Kiwnął ręką w milczeniu, zupełnie tak samo, jak przed trzema miesiącami, kiedy wreszcie dobrnął do Paryża po wszystkich przygodach podróży bez paszportu. I podobnie jak wtedy, usiadł w fotelu.

Jeszcze w gimnazjum nazywaliśmy go „Gandhi" z powodu jego cienkich i długich nóg, okularów w drucianej oprawie i filozoficznego spokoju. Łączyła mnie z nim wielka przyjaźń, właściwie jedyna w życiu. Od szóstej klasy począwszy widywano nas zawsze razem. Byliśmy czymś w rodzaju osobnego organizmu klasowego, wokoło którego kręcili się inni koledzy, dopuszczani na bliższą lub dalszą odległość — zależnie od naszego uznania. Profesorowie traktowali nas też jakby osobno i wiem, że na konferencjach spoto o nas mówiono. Doszło w końcu do tego, że gospodarz klasy nie wytrzymał i na jednej z tzw. po krakowsku „wywiadówek" zwrócił się mojej matki z dosyć kłopotliwym pytaniem: „Czy nie sądzi pani, — hm — łączy ich ze sobą COŚ więcej, niż — hm — przyjaźń? Przypuszczam, że rozumie mnie pani, o co mi chodzi...?" Moja matka opowiadała nam o tym ze śmiechem. W wielu wypadkach potrafiła być naszym trzecim towarzyszem, a „Gandhi" twierdził z całą powagą, że kocha ją bardziej niż swoją.

Budowaliśmy siebie cegłami tych samych książek, spajali to zaprawą wspólnych rozmów i chociaż po maturze spotykaliśmy się już rzadziej nic w nas nie pękło ani nie rozluźniło się pod wpływem dalszego życia. Bywa to raczej rzadkie i wiem, że w tym wypadku zdołaliśmy wiele ocalić przede wszystkim dzięki usposobieniu „Gandhiego". Ostatni raz przed wojną widzieliśmy się u mnie w domu, w lutym 1939 r. Był mróz, mała osada podmiejska zapadła głęboko w śnieżnym puchu. Jakoś ten śnieg utkwił mi specjalnie w pamięci i myśląc o śniegu, myślę dotąd zawsze o tym, a nie o innym. „Gandhi" pracował już jako instruktor rolniczy w Kielecczyźnie i będąc służbowo w Krakowie, podjechał do mnie wieczorem zanocować. Byliśmy wtedy obydwaj dosyć przygnębieni i rozmowa jakoś nie kleiła się. Pamiętam tylko, że oparty o piec i czyszcząc z niemiłosierną dokładnością okulary, opowiadał mi długo i szeroko o swojej pracy dyplomowej, którą właśnie wtedy skończył pisać. Nie wiem czy przeczuwał, że to było nasze ostatnie spotkanie, w tym etapie życia, ale nazajutrz rano, przy pożegnaniu, przytrzymał moją dłoń dłużej i spojrzał mi głęboko w oczy. Potem szybko pogładził mnie po głowie i odwrócił się. Stałem w drzwiach i patrzyłem jak szedł na swoich długich nogach w stronę lasu. Spod jego obcasów wyskakiwały w górę brązowawe grudki śniegu, który znowu spadł w nocy. Niedługo potem straciłem go z oczu.

I oto nagle odnaleźliśmy się w Paryżu, po przeszło ośmiu latach. „Gandhi" zapukał, kiwnął ręką jakbyśmy się przez ten czas widywali wielokrotnie i obejmując mnie mocno, powtórzył tylko kilka razy z wielkim wzruszeniem: „Jak się masz, jak się masz". Potem usiadł i w skrócie opowiedział mi swoje dzieje. Jak zwykle: wrzesień, cywilne ubranie, okupacja, podziemie, powstanie — i rozczarowanie. Już w czasie jego krótkiej relacji odnajdywałem mojego „Gandhiego". Wyczułem, że wszystko to odbyło się w nim w ten sposób, jakby oglądał to na scenie lub na ekranie. Zawsze twierdził, że w każdym człowieku jest rodzaj zimnego oka, nieulegającego żadnym wzruszeniom, pozaczasowego. Nazywał je „okiem ośmiornicy" i mówił, że doskonale je wyczuwa: — „Siedzi w środku i patrzy. Masz dwadzieścia lat, masz trzydzieści, będziesz już stary, a ono zawsze będzie przyglądać się tobie i światu jednakowo: ostro i chłodno. Spróbuj tylko załgać się odrobinę, zgrywać przed samym sobą, a od razu poczujesz to spojrzenie".— Teraz Gandhi wolno cedził słowa i był zawsze tym „Gandhim", z którym rozstałem się tak dawno. Pierwsze rozmowy są zwykle bezładne, ale pomimo to wie się natychmiast, czy wszystko należycie zaskakuje. W ten pierwszy wieczór dogadaliśmy się od razu.

„Gandhi", ogarnąwszy wzrokiem mój mały pokój, zapewnił mnie z uśmiechem, że nie będę miał z nim żadnego kłopotu, bo już mieszka w jakimś hotelu i pieniędzy ma dosyć. Zbierał je na tę podróż prawie od dwóch lat. „No i jeszcze ciągle nie jestem żonaty" — dorzucił. Czułem, że zwierzenia z tej dziedziny nastąpią kiedy indziej. Z Polski wyjechał wczesną jesienią 47 r. Po dłuższych popasach w Niemczech i w Belgii, dobrnął do Paryża.

Po tym wieczorze pierwszego spotkania rozpoczął się nasz „miodowy miesiąc", jak to określił „Gandhi", i widywaliśmy się prawie codziennie. Oprowadzałem go po mieście i trzepaliśmy zawzięcie w te osiem lat rozłąki, jak w wyciągnięty ze strychu dywan. Sypał się kurz, a spod niego wyłaniały się przeróżne desenie. Nie mówiliśmy więcej o odległej szej przeszłości, bo tam już wszystko było poszufladkowane i nadawało się tylko do archiwum. „Gandhi" opowiadał mi raczej o latach ostatnich, o tzw. nowej rzeczywistości polskiej, o ludziach, o kolegach. Ja mówiłem o Francji, o Europie, o Zachodzie. Długie i wspaniałe gawędy przy kieliszku wina lub w czasie pieszych wędrówek z końca na koniec Paryża.

W komentarzach „Gandhiego" o Polsce współczesnej nie było przesady. Opowiadał mi o tym jakby pod ciągłą kontrolą tego swojego oka. Byłem mu za to bardzo wdzięczny. Na wszystkie moje pytania starał się odpowiadać spokojnie i rzeczowo. Powiedział mi, że nie jest najgorsze to wszystko, co tak chętnie podchwytuje się tutaj w prasie emigracyjnej czy też obcej, bo po prostu kąt spojrzenia na te rzeczy jest często zupełnie inny, tam w kraju; że w wielu wypadkach zachowanie się różnych ludzi jest tam dyktowane motywami, o których tu nie ma się wyobrażenia. Wojna i okupacja oszlifowały ludzi inaczej, to też ten sam promień załamuje się tam w inny sposób, nieraz bardzo skomplikowany. Twierdził natomiast, że najgorsze jest to, co nazwał „bólami w amputowanej nodze":

— Wiesz, szereg ludzi, którym odjęto nogę lub rękę odczuwa potem do końca życia bóle w członku „widmie". Te bóle bywają nieraz tak silne, że utrudniają lub wręcz uniemożliwiają inwalidom przystosowanie się do ich nowego życia. Otóż zapewniam cię, że olbrzymia większość ludzi w Polsce cierpi świadomie lub podświadomie... Tu „Gandhi" zamyślił się i po chwili dokończał: „najczęściej jednak świadomie. na bóle tego rodzaju. Operują nas pod narkozą, bardzo wielu zgadza się nawet z diagnozą, że niektóre odcinane kawałki były istotnie zgangrenowane, ale boli ich potem w „widmie" — boli nieraz nieznośnie. Odczują te bóle nawet zupełnie prości ludzie, choć wiesz, że zasadniczo stan pewnego rodzaju euforii po takiej narkozie trwa w tym elemencie dłużej. Nie mówiąc o tym, że amputacje dokonane wśród nich były o wiele łagodniejsze. To jest może najgorsze, bo sprowadza się jednak do zbiorowego kompleksu.

— A jak określiłbyś ten kompleks — zapytałem.

— Nie wiem. My staramy się tam nie przyznawać do niego... Może po prostu jako tęsknotę, najczęściej trudną do określenia. To wszystko jest naprawdę widmowe. U ludzi na pewnym poziomie precyzuje się to jako tęsknota za Zachodem, za jakimś odprężeniem, za oddechem... Poza tym to, co Gałczyński określił raz tak dowcipnie i zarazem głęboko w jednym ze swoich wierszy jako „das ewig polnische" tłumi się w nas i gniecie w sposób chyba dotąd nigdy nie spotykany. To bywa wprost absurdalne i dotyczy nawet szeregu komunistów".

Objaśniał mi mnóstwo rzeczy, które chciałem dostrzec we właściwym świetle. Cieszył się, że otwierałem się na przyjęcie jego słów bez żadnych oporów, bez tej na odmianę tak charakterystycznej dla nas właściwości oglądania teraźniejszości polskiej stąd prawie wyłącznie za pomocą jakichś okularów, nie zawsze dobrze dobranych. Nie raz nie chcąc odpowiedzieć zbyt lekkomyślnie, zapisywał moje pytania w notesiku i odpowiadał w czasie następnego spotkania. Te trudne odpowiedzi kończył zwykle tym samym zapewnieniem: „Tak, ale wiesz — w sumie to trzeba SAMEMU zobaczyć".

Pomogłem mu załatwić formalności związane z uzyskaniem pozwolenia na pobyt. Tymczasem on chłonął wrażenia. Robił to z wrodzonym mu spokojem, jakby roślinnie. Obserwował i czytał. Rozglądał się trochę za możliwościami pracy, przemyśliwał nad wyjazdem dalej. Jego specjalność inżynieria rolna, dawała mu możliwości zarobkowania nawet na obczyźnie. Błogosławiłem jego przezorność pieniężną, bo nie wiem co by zrobił, gdyby nie miał odpowiedniego zapasu gotówki. Uniknął dzięki temu gorzkich spotkań z bezsilnymi ludźmi dobrej woli lub z instytucjami polskimi, w których pensje pracujących są w gruncie rzeczy ostatnią formą zasiłku, jaki się jeszcze wypłaca. Strzeże się tego zazdrośnie. Rozmawialiśmy o tym i o wielu jeszcze zjawiskach na emigracji. „Gandhi" wykazywał tu więcej opanowania ode mnie. Porównywał to do ciętych kwiatów i twierdził, że jest to prawo nieuniknione. „Jeżeli kwiaty cięte myślą, to ich sposób myślenia musi bardzo przypominać wasz. Zresztą dostrzega się to we wszystkich waszych publikacjach" — mówił. Odpowiadałem mu, że coś bardzo podobnego wynika z pism krajowych.

— Oczywiście, ale to co innego. Jednak zdejm te twoje okulary, a wtedy przyznasz, że pomimo wszystko pisma te są znacznie ciekawsze i bogatsze od tutejszych. Mam wrażenie, że jeżeli chodzi o więdnięcie to postępuje ono szybciej jednak tu a nie tam. To sprawa gleby, mój drogi — trudno. Tam — poza pismami — dzieje się jeszcze bardzo wiele obok pism i to jest właśnie gleba.

Prawdę mówiąc, zgadzałem się z nim bardzo często. Musiałem mu przyznawać rację, gdy mi udowadniał, że istnieje w nas zupełnie podświadoma obawa zetknięcia się pierś w pierś z pewnymi zagadnieniami, zaglądnięcia w głąb źrenic pewnym zjawiskom. Te rozmowy prowadziliśmy nieraz oglądając równocześnie jakieś wystawy obrazów lub przerzucając książki w księgarniach i u bukinistów nad Sekwaną. „Gandhi" przypatrując się czemuś, mówił często o rzeczach zupełnie innych. Zawsze mi się zdawało, że nosi w sobie oprócz swojego oka długą rolkę filmu. Pstryka zdjęcie i wywołuje je spokojnie, fotografując jednocześnie co innego. Raz, gdy na wystawie zbiorów wiedeńskiego Muzeum Sztuki w „Petit Palais" rozpłaszczaliśmy właśnie nosy na szklanych ściankach klosza, pod którym stała sławna solniczka Franciszka I-go roboty Benvenuta Cellini, „Gandhi" nagle zapytał:

— Jak myślisz, co jest gorsze: czy szczere zakłamanie, czy nieszczere zakłamanie? Zapatrzony w złoto naszpikowane drogimi kamieniami w urzekające wzrok krople pereł, w pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Odsunąłem się od oświetlonego klosza w mrok sali i patrzyłem na twarz „Gandhiego" Wpatrywał się dalej niby obojętnie, ale widziałem, jak łapczywie wypijał to coś, co tkwiło w tej solniczce. Może i jemu przyszło na myśl nasze ulubione niegdyś zdanie Ulricha von Hutten: „Umysły przebudziły się — tak dobrze jest żyć" i może myślał przy solniczce Benvenuta o „Epistoloe obscurorum vivorum", które czytaliśmy razem tak dawno? Stojąc w mroku poza zasięgiem światła padającego ze szklanej gablotki, odpowiedziałem mu po namyśle:

— Chyba szczere zakłamanie jest gorsze...

„Gandhi" obszedł solniczkę i pochylając się, aby lepiej obejrzeć jakiś szczegół, wycedził wolno:

— I mnie się tak zdaje... Bo jest zakłamaniem nieuświadomionym. Człowiek nie czuje, że kłamie — dorzucił po chwili.

Przeszliśmy do innych sal. Z okien, w dole widać było szeroką asfaltową jezdnię, biegnącą w kierunku mostu Aleksandra III. Dzień był jasno - szary i mglisty. W mokrym asfalcie odbijały się sylwetki samochodów i ludzi, a ponad drzewami Pól Elizejskich rysowały się owalnie okienka mansard, podobne do starych medalionów. „Gandhi" długo wpatrywał się w ten widok, a kiedy podszedłem do niego, westchnął prawie z afektacją i przyciągnął mnie do siebie:

— Patrz, co za spokój!... I to pasmo tego jasno - żółtego dymu na popielatym niebie. Wygląda tak smacznie, że miałbym ochotę je zjeść, ugryźć, jak serdelek. We wszystkich salach, w których były okna, „Gandhi" w ogóle nie oglądał obrazów. „Na obrazy przyjdę kiedy indziej daj mi popatrzeć".

Cieszyłem się spoglądając na niego. Odczuwałem tę samą przyjemność, jaką miałem raz za dawnych lat, gdy w Gorcach, po całodziennym marszu w deszczu i zimnie, kurowałem go wieczorem w schronisku na Lubaniu. Doszedł wyczerpany, z gorączką. Rozebrałem go i wycierałem grubym, lnianym ręcznikiem, pojąc gorącą herbatą. Teraz ciągle zdawało mi się, że znowu go wycieram i że on powoli przestaje szczękać zębami.

W jakiś czas potem wyjechałem na wieś. W ciągu tych paru tygodni, otrzymywałem od niego co kilka dni krótkie kartki, w których opowiadał mi pokrótce o swych „odkryciach", o teatrze, o filmach Po powrocie do Paryża od razu zatelefonowałem do niego i po południu zapukał do drzwi mojego pokoju.

Mówiliśmy o moim pobycie na wsi. Interesował go szczególniej polityczny obraz wsi francuskiej i sukcesy komunistów wśród chłopstwa. Gdy mu powiedziałem, że nie wierzę w to powodzenie na dalszą metę, bo taktyka stosowana na wsi jest diametralnie przeciwna, sprzeczna z tym, co mówią robotnikom w miastach, i że wobec tego ta sprzeczność prędzej, czy później którejś ze stron musi otworzyć oczy, „Gandhi" spojrzał na mnie i rzucił krótko:

— Wcale nie. Ale może miałbyś ochotę wyjść?

Zgodziłem się chętnie. Po kilku dniach spóźnionej zimy, było znowu ciepło i ulice paryskie zaczynały już pachnieć tym czymś nieuchwytnym i rozleniwiającym. Przeszliśmy przez plac z fontanną i schodziliśmy w dół szeroką „avenue" w kierunku Lasku Vincennes. Przed jakimś sklepem z owocami drzemał na pustych skrzynkach wspaniały kot i obydwaj zatrzymaliśmy się, żeby go pogłaskać Ale w tej samej chwili przebiegł obok pies. Kot wstał, fuknął i wyskoczył na paczkę ułożoną wyżej. „Gandhi" zaczął się nagle śmiać, i to w taki sposób, że spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Wiesz, powiedział, śmiejąc się ciągle nieprzyjemnie, ten kot jest dla mnie ilustracją tego wszystkiego, co dzieje się dzisiaj na Zachodzie. Ten kot, to cały tak zwany Zachód. Skakanie na coraz to wyższe paczki z pełnym pogardy i wyższości fuknięciem w stronę psa.

Zatrzymałem się i powiedziałem „Gandhi" takim tonem, jakim mówi się „na litość boską". On też zatrzymał się i pod szkłem okularów zobaczyłem jego twardy wzrok, śmiało wytrzymujący moje spojrzenie. W jego oczach nie było śladu śmiechu. Śmiał się mózgiem i to mnie zabolało. Zapalił papierosa.

— Chciałem z tobą porozmawiać. Boję się jednak, że źle zacząłem. Właściwie ten kot popsuł mi wstęp, bo czuję, że cię mój śmiech zmroził. Ukłułem za głęboko. Ale to nic nie szkodzi; to utwierdza mnie tylko w moich spostrzeżeniach o swoistej wstydliwości i nawet świętoszkowatości w twoim stosunku do pewnych zagadnień. A może to tylko zwyczajne zaślepienie, to szczere zakłamanie?...

Milczałem i „Gandhi" też przerwał. Nie wiem czemu, ale nagle przypomniałem sobie, jak podwożono mnie na stół operacyjny.

— Mów dalej!

Wchodziliśmy do Lasku. Ze stawu unosił się lekki opar. Na cichym, podwieczornym niebie wyraźnie rysowały się kule jemioły wśród nagich gałęzi drzew. Trawniki były już zaśmiecone i jakaś zapóźniona para błąkała się jeszcze w łódce po stawie.

— To było dziwne — zaczął „Gandhi" twardo. Od pewnego czasu zacząłem się budzić rano z jakąś zupełnie nieludzką ochotą do krzyku. Nie wiem, czy znasz to uczucie, ale to jest potworne. Patrzysz w okno słyszysz odgłosy ulicy, wyobrażasz sobie, jak ludzie wchodzą do sklepów, jak do kiosków podjeżdżają chłopcy z gazetami. Widzisz czarne tytuły, już ktoś kupuje, schodzi do „Metro". Zaczyna się dzień, normalny, powszedni. A ty masz ochotę krzyczeć, dusi cię w płucach, rozpiera, chciałbyś zawyć głosem wszystkich syren alarmowych i uprzytom-

W kraju...

UROCZYSTOŚCI MAJOWE

1-go maja odbyły się w całej Polsce uroczystości związane z obchodem Dnia Pracy. Najbardziej masowy charakter przybrały one w Warszawie, gdzie w pochodzie i wielkim wiecu wzięło udział ok. 250 tys. mieszkańców stolicy. Do zgromadzonych przemówił Premier Cyrankiewicz i Wicepremier Gomułka, specjalnie dużo uwagi w swych przemówieniach poświęcając zjednoczeniu dwu partii robotniczych. W tym samym dniu odbyły się w Miłosławiu uroczystości poświęcone rocznicy bitwy powstańców wielkopolskich w r. 1848. W uroczystościach wziął udział Prezydent Bierut.

ROCZNICA KONSTYTUCJI MAJOWEJ

WARTO dziś nawet zdać sobie sprawę z faktu, że historycznie rzecz biorąc Konstytucja 3-go Maja była niewątpliwie rewolucyjna, jak na tamte czasy i stanowiła ogromny przewrót w mentalności osiemnastowiecznej. W Polsce rewolucja miała przebieg bezkrwawy i gdyby nie udaremnienie jej osiągnięć przez zabory bylibyśmy pierwszym państwem w Europie realizującym słuszne dzieło reform społecznych.

AKCJA UNIFIKACYJNA ORG. MŁODZIEŻY

PRZEMAWIAJĄC w dniu 1 maja przewodniczący ZWM gen. Janusz Zarzycki stwierdził, że w rocznicę Manifestu Lipcowego w dniu 22 lipca b. r. nastąpi zlanie się Związku Walki Młodych, OM TUR, ZMW WICI i Związku Młodzieży Demokratycznej w jedną całość organizacyjną.

WYROK NA FÖRSTERA

NAJWYŻSZY Trybunał Narodowy ogłosił wyrok w sprawie Alberta Förstera, b. gauleitera Gdańska i Pomorza, skazując go na karę śmierci. Förster był sądzony nie tylko za swą zbrodniczą działalność w czasie okupacji, ale również za akcję antypolską z przed wojny, której był głównym inspiratorem i promotorem. Właściwie dowody zbrodni kata Pomorza były tak oczywiste, że dla niejednych proces może się wydawać zbędną szopką. Tak jednak nie jest. W tym wypadku kara została wymierzona w majestacie sprawiedliwości i to jest nasza wyższość nad mordercami hitlerowskimi, obywającymi się najczęściej bez sądów i bez wyroków. Krwawego gauleitera bronili przydzieleni z urzędu prawnicy polscy i dano mu sposobność nawet do wygłoszenia obłudnej tyrady, motywującej przestępczą działalność. Proces Förstera, którego los zaprowadził na ławę oskarżonych w tym samym miejscu, w którym w r. 1930 rozpoczął on swą zbrodniczą karierę jest jeszcze jednym potwierdzeniem słuszności starej prawdy „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy".

Już ukazali się

„WYBRAŃCY GWIAZD"

powieść

Jana Dobraczyńskiego

wyd.

Z. Gustowskiego

nić tym ludziom tutaj, że warstwa lodu, po którym chodzą topnieje od spodu, że tam w głębi wszystko rozmarza i staje się płynne... Tak, miałbym ochotę ryknąć, że to, co robi się dzisiaj tu, jest przesycone, kłamstwem, szablonem, strachem i obłudą. A przecież właśnie Zachód piętnuje to wszystko tam..

— Albo przestaniesz histeryzować, albo dajmy temu spokój — przerwałem ostro. Zatrzymałem się. „Gandhi" machinalnie poszedł jeszcze parę kroków naprzód i też stanął. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

— Histeryzuję, histeryzuję... W tym co mówię, nie ma cienia histerii. To ty reagujesz pod wpływem strachu. Boisz się, że ja przyznam się za ciebie do rzeczy, które obchodzisz przy pomocy mówienia, ciągłego i szablonowego, o tym, co dzieje się po tamtej stronie. Starasz się zapełnić pewną próżnię, o której wiesz, że istnieje, słowami „kultura", „wolność jednostki", „Zachód". I czujesz równocześnie, że w tym znaczeniu, w jakim ich używasz, są one wytworem ustroju społecznego, który skończył się dawno; wiesz świetnie, jak bardzo są już one oderwane i dla jak cienkiej warstwy ich sens nie jest jeszcze pustym dźwiękiem. Nie — „kultura", „wolność jednostki" i „Zachód" nie są żadną ideologią. Ani polityką. To są delikatne roślinki, które naprawdę mogą tylko kwitnąć na gruncie jakiegoś systemu, czy jak tam to nazwiesz. To są równocześnie wielkie prawdy, które potrzebują jednak oparcia w całym szeregu mniejszych prawd dla mniejszych ludzi. Ale ty wiesz, że ich nie posiadasz; ty wiesz, że nie masz systemu i że wszystko, co mówisz jest w istocie bez korzenia. Czepiasz się więc tych pojęć, jak cennych resztek zatopionego okrętu i chlapiesz się na coraz to wyższej fali. No i pocieszasz się, że JESZCZE pływasz. Pamiętasz, jak opowiadałeś mi, że gdyby w 1940 r. było dosyć pociągów i samochodów, to cały Paryż byłby uciekł przed Niemcami. A dziś — co stałoby się dziś, gdyby Rosjanie szli na Zachód? Odpowiedz!

„Gandhi" patrzył spokojnie i czekał. Mnie przeszły przez myśl słowa jakiegoś robotnika, który wychylając się z okna brudnego domku obok mojego hotelu, wołał do drugiego: „Y a du bon pour nous!" To było w dzień zaprzysiężenia rządu Gottwalda w Czechosłowacji. I przypomniałem sobie także o tej krawcowej w mojej dzielnicy, która dla komunistek szyje o 30 proc. taniej... Odpowiedziałem:

— Myślę, że uciekałoby bardzo mało ludzi... A wśród uciekających byłby znikomy procent tych, dla których decydującym motywem ucieczki byłyby „kultura", „wolność jednostki" i „Zachód"!...

„Gandhi" przypatrywał mi się uważnie i zaśmiał się.

— Chwalebna szczerość. Oczywiście. Tak. Bo cała propaganda antykomunistyczna była i — chcesz czy nie chcesz — jest jeszcze ciągle obroną interesów pewnych klas i ich przywilejów. Nawet niekoniecznie materialnych... To zawsze gdzieś wyjdzie jak szydło z worka. Nie przerywaj mi... Po co się okłamywać? I dlatego ta propaganda przemawia TYLKO do tych klas. Masy czują to instynktownie i czują to specjalnie w tak ciężkim okresie jak dzisiejszy. A zresztą i ty czujesz to samo. Przeanalizuj swe uczucia, gdy oglądasz wyniki jakichkolwiek wyborów. Patrzysz na cyfry, jak na tabelę na loterii; większa ilość niekomunistycznych głosów, to wielka wygrana szczęście. Dominuje w tobie moment „udania się", jeszcze jednego zręcznego przeskoczenia fali, a nie moment świadomego wygrania trudnej gry. Żywiołowości już możesz przeciwstawić tylko takie lub inne „tricki", które tu i ówdzie udają się albo i nie. Ale „tricki" nie oparte o żaden system są bronią bardzo krótką.

— Mój drogi, przecież cały komunizm opiera się na „trickach" i sam mi o tym...

— Oczywiście, ale na „trickach" wspartych o fundamenty systemu. To właśnie tłumaczy ich powodzenie i możliwość nieprzebierania w rodzajach chwytów. A jeżeli chodzi o system społeczny jasny, prosty, określony i — co jest dziś najważniejsze — dostępny dla każdego, to musisz zgodzić się, że komunizm jest w obecnej chwili jedynym, który odpowiada tym warunkom. Zachód nie jest w stanie przeciwstawić tu niczego innego, oprócz tradycyjnych okrzyków na cześć wolności jednostki i cywilizacji chrześcijańskiej, okrzyków i subtelnych rozumowań, które trafiają do przekonania tylko pewnych warstw społeczeństw... NO I DO PRZEKONANIA OLBRZYMIEJ WIĘKSZOŚCI PO TAMTEJ STRONIE!... Ale to tylko tak długo, jak długo nie skończy się wiara w siłę i wyższość Zachodu. A ja tej siły i wyższości nie widzę, rozumiesz, bo nie widzę tymczasem niczego innego poza frazesami i ciągłym liczeniem na jakieś TECHNICZNE zwycięstwo przy pomocy jeszcze jednego „tricka", z których ostateczny jest Ameryka. Cały Zachód europejski znajduje się dziś w polu magnetycznym komunizmu. Możesz robić, co chcesz, ale nic nie poradzisz na to, że masa ludzkich opiłków — właśnie opiłków — układa się tak i nie inaczej. Wszelkie inicjatywy obrony przed tą siłą przyciągania będą dotąd skazane na niepowodzenie, dokąd nie przeciwstawisz jej czegoś więcej, niż sensacji spoza żelaznej kurtyny, wyznań sowieckich „niewozwraszczeńców" i wzdychania o kulturze zachodniej. I dolarów!

Zaczęło się ściemniać i poszliśmy dalej milcząc. Zatrzymaliśmy się na mostku przerzuconym ponad jednym z dopływów stawu. Szumiał mały wodospadzik. Oparliśmy się o balustradę.

— No i cóż dostrzegasz poza tym? — zapytałem z odcieniem ironii. To co robisz w tej chwili przypomina bardziej narkoterapię, niż rozmowę. Coś jak zastrzyk pentatolu...

— Nie uśmiechaj się. Ja chciałbym to wszystko wykrzyczeć. Wydaje mi się, że gdyby Zachód potrafił się przyznać do wielu rzeczy, gdyby umiał sobie powiedzieć, że choroba, na którą cierpi w rzeczywistości jest czymś gorszym, niż grypa i wymaga leczenia nie tylko tabletkami planu Marshalla, to fakt ten oznaczałby już bardzo wiele. Ale nie — w całym szeregu oddziałów tej instytucji ukrywa się bankructwo; uprawia się dalej kombinacje, gwałci się dalej po cichu zasady, o których krzyczy się głośno i które przeciwstawia się tamtej stronie. I jak w to wierzyć? Przeszedłem przez Niemcy, byłem w Belgii siedzę tu. Patrzę i czytam, słucham. Wszędzie obłuda, bezradna gadanina i polityczno - społeczne łatanie. Mozaika poczynań, opierających się bez wyjątku na obliczeniach z jakimś błędem, który wyłazi prędzej, czy później, a ostatnio coraz prędzej. Czy nie czujesz we wszystkim tego jakiegoś tajemniczego błędu? Ten błąd mnie dręczy. Chciałbym, aby o nim zaczęto mówić i pisać wszędzie, zastanawiać się nad wykryciem go. Ale nie dojdzie się do tego poprzez ciągłe przemilczanie pewnych faktów społecznych, uskoki poza frazesy i najzręczniejsze nawet pociągnięcia polityczne. Bo stamtąd idzie coś więcej, niż zręczność polityczna. Odpowiesz mi, że genialna demagogia, mistrzowska gra pozorów. Tak niewątpliwie, ale poza nią jeszcze ciągle jest coś. To coś, czego nie ima się żadna propaganda, to jakieś zagadkowe, „ale" człowieka tłumu, który odpowie ci na najokrutniejsze prawdy o tamtym systemie. Bo on czuje to samo co i ty, tylko, że ty nie powiesz sobie tego nigdy; będziesz płukał sobie gardło „socjalizmami niezależnymi", „demokracją", „wolnością" z cichą i skrzętnie ukrytą nadzieją, że przy ich pomocy uda ci się jeszcze przydłużyć choćby o parę lat i choćby tylko cień poczciwego ustroju mieszczańskiego. Krzywisz się, bo nie lubisz tych zwrotów „zapożyczonych" z innego słownika. I wpatrujesz się w Amerykę z napięciem: czy da w końcu dosyć chleba, który na chwilę odwróci uwagę tej masy i stępi jej czujność na twoje manewry bez pokrycia, na te misterne marsze i kontrmarsze opierające się na przebrzmiałej doktrynie społecznej. Czysta i sucha polityka, oparta na kilku pojęciach, których wartość kończy się poniżej pewnego zarobku miesięcznego i poniżej pewnego poziomu wykształcenia, to bardzo mało. Ty myślisz jeszcze ciągle kategoriami jakichś dawnych elit i elitek — tak, tak — sięgnij oburącz do środka i zbadaj wnętrzności. Pogrzeb się trochę w tym, szukaj... Odkryjesz wiele ciekawych rzeczy. Chociaż bardzo być może, że nie odkryjesz wiele, bo cała twoja uwaga skierowana jest tylko tam. Ach — tam sobie używasz, od razu ci raźniej na duszy i ciele, gdy możesz wyciskać co z „tamtej strony". Wtedy ciężar, który się gniecie tu, wydaje ci się lżejszy. To pozwala ci zapomnieć o koszmarze, jakim był by nagły kryzys gospodarczy w Stanach Zjednoczonych. Już Wallace cię niepokoi, gnębi — przyznaj się. Ale liczysz, że „jakoś" sobie z nim dadzą radę. Nie chcesz słyszeć o tym, że twoje nadzieje zawieszone są na kursach Wall-Street, jak na cienkich nitkach i że ustrój społeczny Stanów zawdzięcza jeszcze swą jednolitość i zwartość czynnikowi, który może dziś przestać istnieć w bardzo krótkim czasie i który pomimo wszystko stale maleje: SZANSIE — tej szansie szarego człowieka dojścia do wysokiego poziomu materialnego, tej samej szansie, która przez tak długi czas była dźwignią podobnego ustroju w Europie. Tu resztki jej istnieją tylko dla pewnych warstw tam jeszcze dla wszystkich przynajmniej w teorii. Ale i gdy tam jej czar przestałby działać, gdyby i tam skończyła się ta szansa, to co? To może znowu „kultura", „wolność jednostki" i „Zachód"? Nie — bo liczysz po cichu, że Ameryka wydobędzie się „jakoś" z trudności. I w tym „jakoś" godzisz się na rzeczy, które cię tak oburzają, i które codziennie piętnujesz? Będziesz mniej wrażliwy na bicie pałkami strajkujących robotników, na strzały policji, na aresztowania przywódców „dzikich" syndykatów i na różne inne — jak to określasz uskokowo — „nieuniknione konsekwencje". Sam nawet nie czujesz, do jakiego stopnia Zachód stał się dla ciebie synonimem przede wszystkim jakiegoś uzdrowiska o łagodnym klimacie pełnego jeszcze smaczków życia i resztek ukochanego 1900...

Gandhi mówił to wszystko spokojnie, spoglądając na czarną powierzchnię wody. Ja patrzyłem w niebo, ciemniejące powoli, łagodne i głębokie. Gdzieś z daleka dolatywała muzyka — pewnie głośnik karuzeli lub elektrodromu w wędrownym lunaparku.

— „Gandhi"—zacząłem głosem lekarza pochylającego się nad węzgłowiem chorego — ależ to wszystko co się dzieje po tamtej stronie jest stokroć gorsze. Przecież wiesz lepiej ode mnie...

— Milcz! — krzyknął gwałtownie. Przede wszystkim nie mów do mnie tym głosem. Kiedy ci brak argumentów, a przy dotknięciu dna brakuje ci ich dotąd z reguły, ty zaczynasz przemawiać tonem psychiatry. Czy nie widzisz, że to jest znowu jeden z twoich sposobów ucieczki? Za wszelką cenę chcesz dostać się z powrotem w pobliże powierzchni, pływać w tej warstwie letniej wody rozumowań, intelektualnych pląsów, efektownych cytat, którym grozi jednak natychmiastowy skurcz, gdy dotkną niższych prądów. A ściągnięty tam, bronisz się jak sztubak krzycząc, że tamten jest jeszcze gorszy. To twój jedyny mocny argument, gdy docisnąć cię łopatkami do muru. Ale to argument już bardzo zdarty — zapewniam cię — i co gorsze, implikujący brak zasadniczego KONTRASTU. Tak, tak — zasadniczego. Zanik kontrastu, to twoja śmierć. I znowu miej odwagę przyznać się, że jedynym kontrastem staje się teraz już prawie tylko to, co nazwałem „ciszą uzdrowiska"... Och, tak, zgadzam się, to bardzo wiele. Tęskniłem za tym potwornie, każdym nerwem i po przyjeździe tu upijałem się tym do nieprzytomności. Ale w chwilach otrzeźwienia krótkich i odpychanych gwałtownie czułem z przerażającą ostrością, do jakiego stopnia dla nas, młodych to nie może być wszystkim... A przecież do jeszcze młodszych nie przemawia w ogóle. Bo pomiędzy 15-tym a 25-tym rokiem życia szuka się soków, żywych i wartkich, ruchu wszystko jedno jakiego, a nie owoców. Tu roi się jeszcze od owoców, ale świeży sok przestał krążyć! Spójrz na młodych i posłuchaj co o tym myślą. A tam dzieje się bardzo wiele, tam pomimo wszystko daje się młodym coś. To nie jest takie Sztancą myśli, nie mówieniem, nie proste, jak myślisz...

Przestań na mnie patrzyć, jak na chorego i spróbuj zdjąć okulary. przyznawaniem się nie ujedziesz daleko. Pragniesz wojny, niemal modlisz się o nią, bo tylko atomem uranu jesteś jeszcze zdolny rozsadzać. A co dasz po niej? Pociągasz nosem i niecierpliwisz się. Słowa, słowa, słowa. Ale to śmieszne, ile rzeczy cię niecierpliwi, jak bardzo stałeś się podejrzliwy i jak bardzo spłyciłeś się od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Wtedy nie bałeś się pewnych określeń — dziś sam fakt posługiwania się nimi przez tamtych każe ci je uważać „a priori" za błędne. Unikasz ich tym bardziej, im bardziej czujesz, że obiektywnie są one słuszne. To, że używa się ich tam dla pewnych celów, w wielu wypadkach na pewno sprzecznych z prawdziwym postępem człowieka, odbiera ci odwagę zastosowania ich do siebie. Chodzisz na palcach wokoło „burżuazji", „dwustu rodzin", „trustów" i „kapitalizmu". Jeżeli bronisz struktury społecznej, która zapewnia im możność istnienia, to czemu nie powiesz tego otwarcie? Ale nie, ty jesteś postępowy i wolisz chować się za... ech, sam wiesz lepiej za co. Dużo tu pomysłów, wiele „trzecich sił"? „akcji republikańskich", ale czemuż mijają bez echa? Powiem ci: bo wszystkie mniej lub więcej świadomie są tylko parawanami...

— A czy tam wszystko nie jest też jednym olbrzymim parawanem? — parsknąłem już ze złością.

Wracasz z uporem do twojego argumentu. Ale na Boga czyż nie widzisz, że żyjemy w czasach, w których musi się w końcu zaprzestać odrzucania piłki? Zastanów się, że na tych wyżynach przekonania o swojej wyższości i wiary w prawdę głoszonych zasad, ten sport podrywa może najbardziej zaufanie tych, na których ci najbardziej zależy. Bo chyba nie zapominasz o tym, że w tej chwili nie jest to jeszcze walka dwóch światów, ale raczej spotkanie drużyn. Przyglądają mu się miliony widzów, a sympatie publiczności są paradoksalnie przeciwstawne, czerwoni mają za sobą większość publiczności białych, a biali większość kibiców czerwonych. Ale dalsze poprzestawanie z tej strony na technicznej obronie kruchej bramki i odkopywanie piłki w ten sposób,

w jaki tamci chcą, żeby była odkopywana, może zmienić sympatie także i tamtej połowy. A co wtedy? Ostrzegam cię, że pomimo wszystko ten proces jest już w toku. I o nim warto pomyśleć...

Spojrzałem na „Gandhiego" i zląkłem się Przeraził mnie jego spokój, chłód tych „pomimo wszystko" wypowiadanych twardo i zdecydowanie.

— „Gandhi", szepnąłem, pomyśl ilu ludzi stamtąd ucieka...

— A ilu wraca? Jakie jest saldo? Jakie są motywy powrotu? Czy w końcu nie to wszystko, o czym ci mówię? I kto ucieka? Jak się ich przyjmuje?

— Daj spokój! Tylko tak mówią... „Gandhi" uderzył nagle pięścią w poręcz mostu i zaczął prawie krzyczeć. Było już ciemno.

— Tylko tak mówią, tylko tak mówią — zachłysnął się — to cała twoja odpowiedź. Odpowiedź „wtajemniczonego". Ale dziś nie wolno już „tylko tak mówić", kręcić, żonglować zasadami, o których się trąbi na cały świat, że są „święte" i „nienaruszalne". Chwycił mnie za klapy płaszcza i krzyczał prosto w twarz jakby z łkaniem w głosie: „Słuchaj, w obecnej chwili nie tylko napisanie czegoś takiego, ale w ogóle myśl tego rodzaju jest zbrodnią. Tam — jestem — pewny — tam szeptana wieść o tym biega już po tysiącach kilometrów kwadratowych Tam, tam gdzie siedzi wasza publiczność. Czepiam się głupstw? Nie — w tej dziedzinie nie ma dzisiaj głupstw. Nie masz idei, więc dotrzymuj z żelazną konsekwencją i troskliwością choćby tych kilku pięknych zasad, którymi obracasz od rana do wieczora, jak terkotką. Ale ty i tego nie potrafisz, bo zbyt wiele egoizmów obsiadło je jak muchy — egoizmów, z którymi musisz się po cichu liczyć. Stajesz się niepostrzeżenie bigotem jakiejś mglistej religii. A tam wypadki pędzą...

Oderwałem ręce „Gandhiego" od klap mojego płaszcza i podałem mu papierosa. Sięgnął po ogień. Ręka drgała mu tak silnie, że płomień nie mógł trafić do tytoniu. W nikłym świetle zapałki zauważyłem krople potu na jego czole i policzkach.

— Chodź, powiedziałem spokojnie. Wziąłem go pod rękę i wolno prowadziłem. Wyszliśmy gorążeni w milczeniu. Potem szliśmy jedną z tych małych uliczek, oświetlonych z rzadka gazowymi latarniami. Pod jedną z nich „Gandhi" nagle przystanął. Było zupełnie cicho i tylko nad nami syczał siny płomień gazu. „Gandhi" odsunął się ode mnie o krok i już znowu zupełnie spokojnie powiedział:

— Słuchaj, właściwie chciałem pożegnać się z tobą. Ja — wracam!

Patrzył na mnie. Wyciągnąłem spokojnie z kieszeni tytoń i nabijając wolno fajkę, uśmiechnąłem się do niego:

— Domyślałem się tego. Dziękuję ci, „Gandhi". Oparłem rękę na jego ramieniu: Wiesz, chlusnąłeś mi na łeb taką ilością zimnej wody, że martwy mógłby powstać. Jestem ci wdzięczny za to, bo to dobrze robi. Tego na należy unikać, nie trzeba się bać. Wszystko, co dzieje się dzisiaj jest w znacznej mierze wynikiem milczenia, obchodzenia na palcach... A zresztą sam to już powiedziałeś. I ja się z tobą zgadzam. Zgadzam się całkowicie — tak — aż do... aż do... Zaśmiałem się: Aż do tej latarni.

Podałem mu rękę i mocno ścisnąłem jego gorącą dłoń. Potem szybko pogładziłem go po głowie. Odwrócił się i odszedł. Znikł w mroku i tylko w skośnym świetle długo migały jego chude nogi.

Andrzej Bobkowski

Józef Majkut

Karol Namysłowski — muzyka i chłopi

SZANOWNA REDAKCJO!

Jestem chłopem z zamojszczyzny, ściślej mówiąc ze Starego Zamościa, a więc „z parafii" Karola Namysłowskiego. który całe swoje życie poświęcił muzyce, chłopom i kościołowi... Karol Namysłowski, utalentowany muzyk i kompozytor — mając otwartą drogę do sławy i fortuny, nie poszedł w szeroki świat, jak inni jego koledzy z Instytutu Muzycznego w Warszawie, lecz po zdobyciu wiedzy muzycznej w stolicy — wraca w rodzinne strony, między lud wiejski — poświęcając mu swe zdolności, mienie, własny dom i prace całego życia. Nie modne były jeszcze wówczas hasła takie, jak: demokracja, upowszechnienie, ani sztuka dla mas...

On, wyprzedzając epokę, będąc równocześnie kompozytorem, wychowawcą, profesorem i dyrygentem — przez lat pięćdziesiąt zbliża sztukę do ludu, a lud prosty, niepiśmienny dźwiga na wyżynę sztuki, udowadniając tym samym, że nieprawdą jest jakoby chłop od gnoju— do gnoju się tylko nadawał... Stworzona przez Karola Namysłowskiego Orkiestra Włościańska, przez długie lata panowania zaborców krzepiła serca Polaków, a w ostatnim roku jego życia, na drugiej półkuli „w drugiej Ojczyźnie Pułaskiego i Kościuszki", zdobyła najwyższe odznaczenie — Gwiaździsty Sztandar.

Jest to dla naszej kultury i muzyki ludowej sukces prawdziwy i niemały — jak niemałym był trud Karola Namysłowskiego, by z chłopa uczynić artystę, jak prawdziwą była jego, mimo szlachectwa — demokracja.

I oto upływa już pierwsze ćwierćwiecze od śmierci tego niepospolitego człowieka — utwory jego wciąż żywe i aktualne słyszymy tak często, chociażby tylko przez radio, a mimo to nikt dotychczas z muzykologów nie napisał o nim najmniejszej biografii. Prof. dr. Józef Reiss w swym ciekawym szkicu historycznym pt. „Najpiękniejszą ze wszystkich jest muzyka polska" — wywodząc to piękno z muzyki ludowej — życie i twórczość Karola Namysłowskiego— zamknął w jednym tylko zdaniu...

Jedno zdanie o człowieku, który, nie szukając sławy, ani zysku — życie swoje poświęcił upowszechnianiu sztuki wśród ludu, nam chłopom ze Starego Zamościa — wydaje się stanowczo za mało.

Dlatego też wszystko cokolwiek wiemy jeszcze o jego życiu i twórczości — zbieramy w jedną całość, aby przynajmniej w ten sposób wyrażając swoją wdzięczność, uchronić od zagłady czasu to, co jeszcze w naszej pamięci pozostało. Niniejszy szkic pt. „Karol Namysłowski muzyka i chłopi" — jest naszą pierwszą próbą...

Chłopi ze St. Zamościa
Józef Majkut
Wacław Mazurek
Antoni Zorkiewicz

O UPOWSZECHNIENIE SZTUKI

Na pytanie co to jest sztuka — odpowiedź łatwa: sztuka to piękno Piękno w rzeźbie, w architekturze, w malarstwie, w poezji, w muzyce, — we wszystkich dziedzinach twórczości... Ale w czym leży istota piękna — tego nikt jasno zdefiniować nie potrafi... Ile szkół i systemów — tyle rozwiązań.

A piękno, jak Sfinks, od wieków pociąga wszystkich tajemniczym urokiem, rozjaśnia życie, napawa rozkoszą, nadaje sens istnieniu... Piękno zaklęte w marmur, w potężne łuki świątyń, przywarte do płócien, ukryte w fałdach szat, rozedrgane w pieśni — odrywając nas od trywialnych potrzeb — ucisza gniew, koi żal... szlachetne wznieca tęsknoty.

Piękno w sztuce jest wszechludzkim językiem: łączy nierozerwalnie przeszłość z teraźniejszością, zbliża jednostki i narody, opromienia ludzkość całą.

Hipotezy, naukowe doktryny, takie lub inne ugrupowania dzielą nas na wrogie obozy — rzucają w wir walki... Sztuka żadnych nie stawia przeszkód; znosi wszelkie granice i przesądy, nie nakazuje, a budzi uczucia serdecznej sympatii.

Wydobywając na jaw to, co w życiu najpiękniejsze — sztuka oczyszcza życie z brudu, wyzwala z pierwotnych instynktów, z więzów i formułek, dźwiga na stopnie człowieczeństwa — jest więc najwyższą moralnością. Nawet jadowite węże, pod wpływem muzyki, podnoszą głowy do góry i zasłuchane zapominają o swej jadowitości.

Piękno w hojnych darach natury rozsypane jest po całej ziemi wśród wszystkich ludzi. Tłumy w szarej codzienności, goniąc za użytkiem nie dostrzegają go. Dopiero, gdy czarodziej artysta przetworzy je na dzieło sztuki — szmer podziwu przebiega ludzkie rzesze. Wezbrane fale uczucia nawet brzydką twarz czynią w natchnieniu piękniejszą, a wrogów zmieniają w przyjaciół.

Dlatego też do piękna w sztuce jak do wszystkich dóbr świata, powinien mieć jednakowe prawo i dostęp każdy z żyjących.

Sztuka dla wszystkich, demokratyzacja sztuki, to branie pod uprawę jak najszerzej niwy serc i dusz ludzkich, aby przez kultywowanie piękna upowszechniać arystokrację ducha, a tym samym stwarzać wyższe, szlachetniejsze formy ludzkiego współżycia.

MUZYKA

Wśród sztuk pięknych nie ma hierarchii, lecz jedną z łatwiejszych do popularyzacji jest niewątpliwie muzyka.

Rzeźba, obraz, wspaniała budowla — są bardziej związane z miejscem i nie wszyscy mogą je podziwiać. Dzieła literatury pięknej muszą być tłumaczone z osobna na każdy język, przez co niejednokrotnie tracą na swej wartości. Muzyka natomiast nie potrzebuje żadnych przekładów: utworów Chopina może słuchać równocześnie Polak, Francuz Chińczyk i Amerykanin.

W dziedzinie muzyki nie jesteśmy ostatni. Mieliśmy sławnych kompozytorów, wybitnych wirtuozów — mamy zdolnych zawodowych muzyków, ale... brak nam było zawsze „konsumentów" — amatorów słuchania wielkiej muzyki.

Nie jeden z obiecujących talentów, który nie miał możności dać się poznać za granicą — kończył w zapomnieniu, bo nie było go... komu uznać...

Oto co pisał „Czas" przed stu laty: „Sławny dziś K. Lipiński, przebywający po raz pierwszy tutaj — zachwycał cudnymi dźwiękami zimne mury, grając w pustej sali — bo nie był jeszcze uwieńczony laurami przez obcych mu później uwitymi" Albo: „Bracia Wieniawscy", przybyli do Krakowa poprzedzani odgłosami pochwał głoszonych po niemiecku i francusku, co tak łatwo porusza nasze serca, uznając dopiero wtedy zasługę i talent rodaka, gdy mu ją już obcy przyznali"... Wieniawski, Chopin, Paderewski dyplomy na wielkość zdobyli u innych... Myśmy im tylko raczyli łaskawie potwierdzić...

Od tamtych czasów nie wiele się zmieniło. Dowodem tego długie ogonki przed kinoteatrem na byle jakie „Piosenki", a puste miejsca podczas wysokiej klasy koncertów... Wytwarza się błędne koło: „szeroka" publiczność niechętnie śpieszy na dobrą muzykę, bo jej nie rozumie, a nie rozumie dlatego, że dobra muzyka jest mało spopularyzowana.

Chlubny wyjątek pod tym względem stanowią obecnie koncerty Filharmonii Warszawskiej, gdzie zwykle wszystkie miejsca zajęte są do ostatniego, a wielu przychodzi z własnymi krzesełkami — by je gdzieś z boku dostawić.

Miejmy nadzieję, że dzięki Ministerstwu Kultury i Sztuki, które prowadzi teraz na szeroką skalę akcje szkół umyzykalniających — kult dla prawdziwej muzyki będzie z każdym rokiem powszechniejszy.

Dotychczas bowiem takich ludzi, którzy z własnej inicjatywy poświęcali się upowszechnieniu sztuki wśród szerokich mas nie mieliśmy wielu. Jednym z nielicznych w dziedzinie muzyki był...

KAROL NAMYSŁOWSKI

Urodził się 9 września 1856 roku— jako potomek starej (sięgającej jeszcze XII wieku) rodziny — w niedużym mająteczku Chomęciska w pobliżu Starego Zamościa.

Jest to żyzna i piękna okolica, a chłopi tamtejsi o normalnych skłonnościach do pracy i zabawy, wyróżniają się od swoich braci spod Warszawy, czy Krakowa tym chociażby, że język ich ze wszystkich narzeczy ludowych w Polsce — jest najbardziej zbliżony do języka literackiego.

Ojciec Karola Namysłowskiego, oprócz własnych 60 morgów — dzierżawił jeszcze trochę i był „poczthalterem". Stanowisko naczelnika poczty w owym czasie związane było z utrzymywaniem licznych pojazdów, koni i odpowiedniej ilości służby, a więc dało się łatwo pogodzić z gospodarstwem rolnym. Poza tym tenże Namysłowski pełnił przez przeszło 20 lat stanowisko sędziego z wyboru, co świadczy dodatnio o jego stosunku do chłopów i odwrotnie. To też mały Karolek od dziecka już zżył się z ludem, a fujarki pastusze, trąbki pocztowców i pieśń ludowa w polu, na wsi i kościele — były dla niego w dzieciństwie jedyną muzyką, gdyż rodzice jego specjalnych zamiłowań w tej dziedzinie nie mieli.

Pierwsze nauki Karol Namysłowski odebrał w Zamościu, potem kształcił się w Lublinie, a wreszcie ze specjalnym wyróżnieniem ukończył założony i prowadzony jeszcze w owym czasie przez Apolinarego Kątskiego Instytut Muzyczny w Warszawie...

Niepozbawiony talentu, miał teraz wszystkie dane ku temu, by się przedstawić miastu i światu. On wolał jednak uczynić to z ludem, z którego melodią zżył się od dziecka. Dlatego też wraca do swoich rodzinnych Chomęcisk, gdzie tworzy „Orkiestrę Włościańską".

PIERWSZE KROKI

Nie była to sprawa łatwa. Niemodną wówczas była jeszcze demokracja, ani „sztuka dla mas". Zarówno ziemianie, jak i rząd carski niezbyt miłym patrzyli na to okiem. Tak samo i w muzyce nie znaczyło to z nurtem — bo wtedy właśnie zaciążyła nad nami hegemonia muzyki niemieckiej. Lekceważono wszelkie „nowatorstwa" i śmiano się z „ludowości", czego najlepszym dowodem było pogardliwe ustosunkowanie się współczesnej inteligencji i sfer muzycznych do tytanicznej pracy Oskara Kolberga.

Mimo to, Karol Namysłowski, artysta - demokrata, od zamierzeń swych nie odstąpił... Sprowadza do rodzinnego domu coraz to więcej wiejskich chłopaków, za własne pieniądze kupuje im instrumenty i rozpoczyna trud nauki.

Na pozór może się wydawać niemożliwością, aby człowiek niepiśmienny mógł w prędkim czasie opanować alfabet muzyczny, a jego twarde i ciężkie od kosy, pługa i wideł dłonie — „technikę palcowania"

A jednak... chłopi szybko przyswoili sobie jedno i drugie i wkrótce popisują się już w parafialnym kościele — grając hejnały, kantaty i pobożne pieśni, kompozycji swojego dyrygenta. Ten egzamin wypadł widocznie bardzo pomyślnie — gdyż zapraszają ich na uświetnienie różnych uroczystości sąsiednie i coraz dalsze parafie, potem dwory — jak np. „Jaśnie wielmożna Hrabina Lubińska" w Rejowcu, potem miasteczka, miasta, jak: Zamość, Radom, Lublin, Kielce i Częstochowa.

Oryginalny ten zespół autentycznych chłopów w samodziałowych portkach i w parciankach, w butach z cholewami — objeżdżający okolice w drabiniastych wozach — budzi wszędzie zrozumiałą sensację, a świetne oberki, mazury i fantazje Namysłowskiego szczere uznanie i podziw... Któż bowiem lepiej od niego może znać życie i werwę ludu... któż lepiej potrafi interpretować te utwory z ich własnej poczęte duszy — jeśli nie oni sami.

W PÓŁWIEKOWYM TRUDZIE

Sława ich rośnie i sięga coraz dalej... W roku 1885 grają po raz pierwszy w Warszawie, na Wystawie rolniczo - przemysłowej — wzbudzając ogólny entuzjazm i zachwyt...

Ale to co się tak podoba Polakom nie może się podobać carskiej żandarmerii. Orkiestra uznana jest za „niebłagonadiożną" i zabraniają jej występów.

Po kilku latach dowiaduje się jednak o muzykalnych chłopach przebywający w Spale sam „Miłościwy" car Aleksander III i pragnie ich posłuchać... Grają przed nim dwa razy i car jest pełen uznania. Nagradza „dyrektora" złotym pierścieniem z brylantem i zezwala na występy po całym imperium.

Od tego czasu orkiestra rozpoczyna swoje triumfalne objazdy, niosąc wszędzie, gdzie tylko serca polskie biją — gorące uczucia narodowe — „ukryte wśród kwiatów armaty".

Karol Namysłowski nie spocznie już teraz ani na chwilę. Jako kompozytor, czerpiąc z motywów ludowych samych mazurów napisał ponad 200..., kilkaset innych utworów jak: polonezy, oberki, kujawiaki, walce, fantazje i szereg utworów treści religijnej, kilka specjalnych (na poświęcenie Wieżycy Jasnogórskiej)...

Jako dyrygent swej orkiestry w setkach miast (i kościołów) dał tysiące koncertów — poświęcono mu setki recenzji w języku polskim, rosyjskim, niemieckim i angielskim. Jako profesor pedagog — własnym kosztem i siłami wykształcił z chłopów ponad dwustu muzyków — zbliżając w całym tego słowa znaczeniu **sztukę do ludu, a lud prosty dźwigając na wyżyny sztuki.**

Wielu bowiem z jego wychowanków grało później pierwsze skrzypce w różnych operach i filharmoniach. Wielu z nich, jak na stosunki chłopskie uczynił „bogaczami" — dał chleb do ręki.

Sam tylko, chociaż miał możność, nie powiększył swojego majątku ani o jeden mórg. Dochód swój z koncertów, poza wykształceniem synów — lokował zawsze w instrumenty, w księgi, w obrazy, a najwięcej w kościół parafialny w Starym Zamościu. Własnym sumptem ufundował tu wspaniały ołtarz, kaplicę, chór, organy, wiele feretronów, obrazów, chorągwi na ogólną sumę

(Dokończenie na str. 8)

Dr Władysław Jan Grabski

Prof. Dr Jan Czekanowski

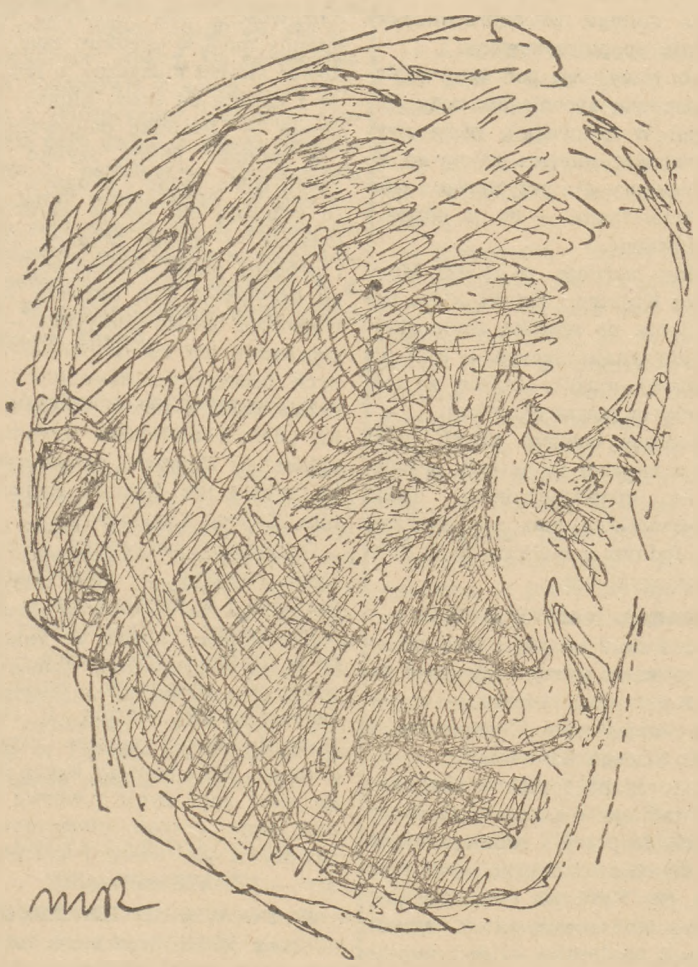

Chluba nauki polskiej i Słowiańszczyzny, jeden z najpoważniejszych autorytetów antropologii światowej, **Jan Czekanowski** urodził się w 1882 roku w Głuchowie, powiatu grójeckiego, ziemi warszawskiej.

Antropologia, inaczej Ludoznawstwo, w najszerszym ujęciu znaczy naukę o fizycznej i psychicznej naturze człowieka. Począwszy od Buffona, Linneusza i Blumenbacha z XVIII wieku, poprzez Cuviera, Denikera, Retziusa i Virchowa w XIX wieku rozwój tej nauki, to rozszerzając, to zwężając zakres swych zainteresowań badawczych skrystalizował się w ramach definicji Pawła Broca, postulującej dla antropologii „badanie rodzaju ludzkiego jako całości, z uwzględnieniem jego części i stosunku do pozostałej przyrody“.

W ten sposób, antropologia dążąc do sklasyfikowania się jako nauka ścisła, jednocześnie zazębia się z socjologią i naukami humanistycznymi, dostarczając im dowodnych wniosków, a nadto współpracuje najściślej z archeologią prehistoryczną, etnologią i etnografią, nie mniej jak i z morfologią i serologią. Zakres badania olbrzymi, bo też olbrzymia jest skala zainteresowań człowieka człowieczeństwem.

Po ukończeniu gimnazjum w Polsce Jan Czekanowski wyjeżdża do Szwajcarii i studiuje na wydziale filozoficznym Uniwersytetu w Zurychu. Tam wykłady profesora Rudolfa Martina wzbudziły w nim zaciekawienie antropologią do tyla, że już jako student, w czasie wakacyjnych odwiedzin Polski przeprowadza na własną rękę badania antropologiczne w szpitalach i więzieniach płockich. Uniwersytet Zurychski kończy w 1906 roku jako doktór filozofii. Jego praca doktorska wprowadzająca po raz pierwszy do antropologii zastosowanie metod biometrycznych zyskała mu takie uznanie w świecie naukowym, że powołano go na asystenta Królewskiego Muzeum Ludoznawczego w Berlinie. Po roku pracy autorytet młodego uczonego polskiego tak wzrósł, że Niemcy, ani domyślając się kogo hodują, udzielili mu stypendium i wydelegowali na wielką wyprawę badawczą do Afryki Środkowej, gdzie przebył dwa lata od 1907 do 1909 roku. Gdy wrócił z owocnej podróży, a nadto opublikował studium pt. „Beitrage zur Antropologie von Polen“ zainteresowała się nim Słowiańszczyzna. W 1911 roku Akademia Nauk w Petersburgu powołuje Czekanowskiego na zaszczytne stanowisko kustosza Muzeum Piotra Wielkiego w ówczesnej stolicy Rosji. Tam, pracując nad antropologią słowiańską, jednocześnie segreguje plon badań afrykańskich i wydaje w latach 1911 — 1917 w Lipsku monumentalne, w pięciu tomach: „Forschungen im Nil — Kongo — Zwischengebiet“, które zyskują mu rozgłos światowy. Jednocześnie rozwija oryginalne myśli, rzucone po raz pierwszy we wstępie do swej dysertacji doktorskiej, publikując w 1912 roku: „Zarys metod statystycznych w zastosowaniu do antropologii“. W 1913 roku, już jako powaga naukowa, Czekanowski zostaje powołany na Uniwersytet Lwowski, gdzie do roku 1939 prowadzi wykłady i seminaria antropologii i etnologii. Tam, przy jego katedrze formuje się środowisko naukowe sławne dziś pod mianem „antropologicznej szkoły lwowskiej“, której przystoi nie mniej nazwa „szkoły Czekanowskiego“. Współpracują z nim wiernie i do ostatka tak wybitni uczniowie uczeni jak Jan Mydlarski, Adrian Demianowski, Tadeusz Szefer, Bartłomiej Głowacki, ks. Bolesław Rosiński, Salomon Czartkower, Stanisław Żejmo-Żejmis, Tadeusz Henzel, Rościsław Jendyk i inni.

Nie wdając się w analizę przyczynków szczegółowych, jako najważniejsze a ogólne zasługi i wkład Czekanowskiego do nauki antropologii wymienimy, poza wspomnianym wyżej zastosowaniem przez niego po raz pierwszy metody biometrycznej i nowoczesnej statystyki, to że on wyprowadził właściwie antropologię z impasu, w jaki popadła w końcu ubiegłego stulecia, kiedy to Virchow, nie bez powodu, stwierdził, że antropologowie nie umieją określić przynależności rasowej szczątków kostnych i nie dorównywują pod tym względem paleontologom. Najważniejszą zasługą Czekanowskiego, stanowiącą moment zwrotny w dziejach antropologii jest jego zwrócenie uwagi na zagadnienie dziedziczności i udowodnienie, wbrew tezom darwinistycznym, że prawa regresji Galtona i prawidłowości, stwierdzone przez Pearsona i jego współpracowników, stanowią konsekwencje rachunkowe praw dziedziczności Mendla. Następnie wykazał Czekanowski, że przy oparciu się na nich uzgodnienie ogólnego prawa dziedziczności z faktami obserwacji leży w dziedzinie zupełnie elementarnego rachunku. „W ten sposób został przygotowany teren dla mendelistycznej syntezy przeistaczającej antropologię w naukę ścisłą“. Te naukowe tezy Czekanowskiego zostały doskonale potwierdzone przez innego uczonego polskiego, Ludwika Hirszfelda, w jego badaniach nad właściwościami serologicznymi krwi. Matematyczne ich ujęcie potwierdził Feliks Bernstein w 1924 roku.

Nie dość jest zwrócić uwagę na tę zbieżność najwyższej miary dwóch uczonych polskich o światowym autorytecie, Czekanowskiego i Hirszfelda, zarzucających wulgaryzatorom darwinizm i tendencyjnym propagatorom teorii walki o byt, krzywdę jaką wyrządzili nauce i ludzkości przez jednostronne wnioski i nieuzasadnione uogólnianie niesprawdzonych naukowo tez naukowych. Obaj protestują przeciwko wyzyskiwaniu nauki dla celów ubocznych, na nadużywaniu jej dla propagandy nie mającej nic wspólnego z duchem nauki. Przecież ekscesy namiętnie propagowanego rasizmu, nie mniej jak nienawiści szowinistycznej to owoc jednostronnej interpretacji darwinistycznej teorii walki o byt.

W 1927 roku wydaje Czekanowski niezwykle ważną dla nauki polskiej pracę pt. **„Wstęp do historii Słowian“**, w której po raz pierwszy określa granice praojczyzny Słowian takie jak je po kilkunastu latach uznała za prawdziwe cała nauka słowiańska, potwierdzając je danymi florystycznymi, etnograficznymi, lingwistycznymi i archeologicznymi.

Z wielkiej liczby doskonałych studium i przyczynków naukowych Czekanowskiego wymieniamy niektóre:

„Recherches antropologiques de la Pologne“ (1920).

„Les lois de Mendel et Galton et les coèficiénts de l'hérédité de Pearson“. (1921).

„Teorie antropologiczne i zróżnicowanie dialektyczne polskiego obszaru językowego“ (1928).

„Główne kierunki antropologii polskiej“ (1928).

„Das antropologische Mittelwertgesetz“ (1930).

Nadto prace badawcze antropologiczne nad ludnością Czech (1933), Serbo-Kroatów (1934), Śląska (1936), Bułgarów (1936), Ukrainy, Białorusi i innych.

„O syntezę prehistorii i etnografii Słowian“ (1937).

„Prolegomena polsko - niemieckiej dyskusji antropologicznej“ (1938).

„Die Antropologische Struktur von Europa“ (1939), oraz najważniejszą z przedwojennych prac syntetycznych, wydaną po raz pierwszy w 1934 roku: **„Człowiek w czasie i przestrzeni“**. Monumentalnym dziełem było przedsięwzięcie pracy zbiorowej: „Człowiek, jego rady i życie“, której pierwszy tom ukazał się w 1939 r. u Trzaski, Ewerta i Michalskiego, a rękopis drugiego tomu zdążyli, niestety, zniszczyć Niemcy.

W czasie wojny rozpoczął Czekanowski pisanie ostatnio wydanej przez Arcta pracy, pt. **„Polska Słowiańszczyzna“**, w której, obok syntetycznego wykładu dorobku tak zw. Szkoły Lwowskiej z dziedziny antropologii Słowiańszczyzny ze szczególnym uwzględnieniem Polski, znajdujemy rozwinięcie najciekawszych rozdziałów słynnej „Człowiek w czasie i przestrzeni“ oraz unowocześnienie tez zawartych we „Wstępie do historii Słowian“.

Wnet po zakończeniu ostatniej wojny Czekanowski rozpoczyna pracę pedagogiczną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a następnie obejmuje katedrę antropologii w Poznaniu. Od 1945 roku wydał już i przygotował do druku około 56 arkuszy prac naukowych i publicystycznych. Ważniejsze z nich:

„Podstawy teoretyczne antropologii“ (K.U.L. 1946).

„Co się właściwie dzieje w Europie“ (K.U.L. 1946).

„Polska synteza slawistyczna w perspektywie ilościowej“ (P.A.U. 1947).

„Prazasiedlenie dorzecza Odry i Wisły w świetle badań antropologicznych (1946).

„The Ancient Home of the Slavs“ (1947).

„Polska Słowiańszczyzna“ (I. Z. Arct, 1948, str. 374).

Tyle o działalności i twórczości naukowej Czekanowskiego. Z nazwiskiem jego łączy się bezspornie rozkwit do szczytowego punktu antropologii słowiańskiej, także fakt, że Polska jest pod względem antropologicznym najlepiej zbadaną częścią kontynentu europejskiego, dzięki czemu i synteza nauki polskiej, reprezentowanej tak zaszczytnie przez Czekanowskiego, zajęły w nauce światowej tak poczesne miejsce, dyskredytując tezy germańskie o preponderancji kulturalnej Niemców-nordyków.

Dla dziejów prasłowiańszczyzny owoce prac badawczych Czekanowskiego są równie odkrywcze i ważne jak prace Niederlego, Kostrzewskiego, Lehr-Spławińskiego, Moszyńskiego. To starczy do wiekopomnej sławy.

Ale my znamy i innego Czekanowskiego, najbliższego nam, mędrca, który nie tylko tworzy i uczy, ale i walczy ramię przy ramieniu z uczniami i współwyznawcami o dobro dnia dzisiejszego. Znamy go jako jednego z najwierniejszych współpracowników Rady Naukowej dla zagadnień Ziem Odzyskanych, znamy go jako przyjaciela młodzieży i jako śmiałego publicystę, który nie wstydzi się zstępować z Olimpu nauki na niziny popularyzatorstwa i nie oszczędza pióra, by ułatwić zrozumienie życia i spraw ludzkich tym, którym brak autorytetu nauki dla wsparcia wiary atakowanej przez pseudouczonych. Cykle artykułów Jana Czekanowskiego w „Tygodniku Powszechnym“, jakże dobitnie świadczą o jego nowoczesności, o wyczuciu zagadnień polityki współczesnej, o gorliwości w utrwalaniu polskości na Ziemiach Odzyskanych, wreszcie o trosce by katolicyzm polski pogłębiał się rozumieniem somatycznej i psychicznej natury człowieka.

Dr Juliusz Nowak-Dłużewski

HANNA

Jury nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka, przyznając nagrodę literacką Hannie Malewskiej za jej twórczość powojenną, podkreśliło specjalną wagę powieści jej „Kamienie wołać będą“, wydanej w 1946 r. a już nagrodzonej w roku ubiegłym razem ze „Żniwem na sierpie“ krakowską nagrodą wojewódzką. Do twórczości powojennej Malewskiej należy jeszcze „Stanica“, wydana w roku 1947, zbiór opowiadań rzymskich. W książce tej wraca Malewska do tradycji swoich początków literackich, do swojej „Wiosny greckiej“, którą odznaczono nagrodą na konkursie przedolimpijskim w 1932 r.

Ta niewielka, ale ładnie napisana książka o Platonie była dokumentem nie tylko uzdolnień literackich młodej, bo zaledwie dwudziestoletniej autorki, ale też i niepospolitej jej erudycji, którą się tak potrafiła wgryźć w atmosferę dialogów Platona. Książka zdobyła sobie aplauz hellenistów, którzy przyznali Malewskiej trafność obrazu życia greckiego w obranym momencie hi-

Jan Dobraczyński

PAWEŁ JASIENICA

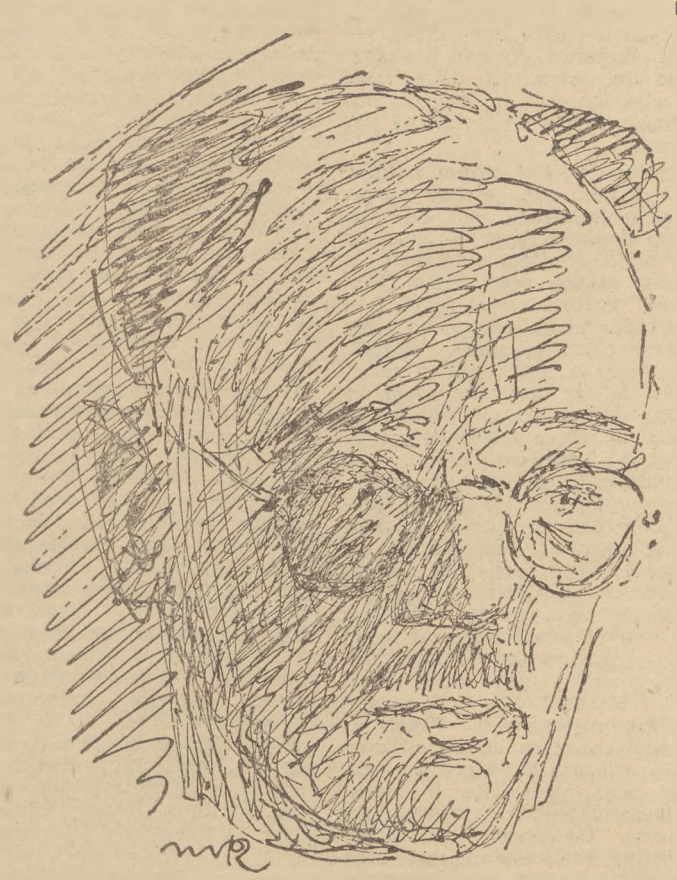

Kiedy z ust członków jury — jednego po drugim — padało nazwisko Pawła Jasienicy, jako kandydata do nagrody za publicystykę, uświadomiłem sobie jak poważną pozycję w katolickiej publicystyce dzisiejszej zajmuje ten pisarz — prawie nieznany, poza swym rodzinnym kręgiem wileńskim, przed wojną. Przez okres niecałych 3 lat Jasienica dobijał się swego stanowiska, dobijał się pracując dużo, nawet bardzo dużo. Kiedy się przerzuca roczniki „Tygodnika Powszechnego“ w każdym niemal numerze spotyka się jego nazwisko — czy bodaj skrót „jas“, a przecież także spotykaliśmy go nieraz na łamach „Dziś i Jutro“ oraz innych pism.

Jasienica jest jednak nie tylko pisarzem, którego spotykamy w prasie często. To byłoby jeszcze zasługą najmniejszą. Mamy przecież publicystów, którzy tydzień za tygodniem wypełniają beznadziejnymi tasiemcami szpalty pism, równie płodni publicystycznie jak ograniczeni w swym myślowym kręgu. Zaletą publicystyki Jasienicy jest to, że potrafi być dostatecznie wszechstronny i zdrowo jednostronny. W tym paradoksie kryje się prawda, że aby być dobrym publicystą, trzeba patrzeć szeroko i widzieć możliwie dużo zjawisk życia, natomiast by być pisarzem katolickim, trzeba umieć — jak to kiedyś ujął ks. Salamucha — przykładać normę teologiczną, jako normę negatywną, czy normę sprawdzającą do każdego zjawiska.

I tym wymaganiom publicystyka Jasienicy odpowiada. Jasienica potrafi obejmować swą bogatą twórczością zagony polityki, socjologii, kultury, literatury. Jako przykład szerokiego wachlarza jego zainteresowań warto przypomnieć doskonałą polemikę z gen. Kirchmajerem na temat kampanii 1939 r., słynny artykuł o niebezpieczeństwie chorób wenerycznych, recenzje literackie — np. doskonałą recenzję o nie mniej doskonałej książce „Szosa Wołokołamska“ — wreszcie — na co specjalnie zwróciło uwagę jury — serię artykułów-reportaży z Ziem Odzyskanych.

Jako polemistę Jasienicę ponosi nieraz pasja — ale właśnie ta pasja stanowi wielką wartość jego publicystyki. Bardziej opanowany niż taki Nowaczyński — że sięgniemy już do skrajności — Jasienica daleko pozostawia za sobą w tyle mdłych zaczerniaczy papieru, wkładających w pisarskie rzemiosło tylko jakiś tam koniuszek swego serca. Jako kawalerzysta miałbym na określenie tej cechy jego talentu krótkie i przejrzyste określenie, powstrzymuję się jednak przed użyciem go, jako, że Jasienica, nawet szarżując nad Kirchmayera w imię czci i sławy tych 40-tu pułków przedwrześniowej kawalerii, nie przestał być zwolennikiem nowoczesności i mechanizacji. Niestety język człowieka używający „Jeepa“ jest mniej barwny niż język dosiadaczy Rosynanty (choć jak twierdzi pewien redaktor pewnego co tydzień w większej ilości bitego pisma, piszę językiem niechlujnym — chcę być w zgodzie z płcią kobyły don Quixote)!

Ogniste poezje Jasienicy i chyba nierozładowany „kompleks wojowania“ uczyniły go jednym z najbardziej czytywanych przez zespół „Kuźnicy“ publicystów. Jest coś wzruszającego w tej sile przekonywania jaka się znajduje zawsze w najdrobniejszej notatce podpisanej krótkim „jas“. Wywołuje ona w łódzkim stawie dogłębny wydźwięk i ku radości spółdzielni „Książka“, przyczynia się walnie do jego żywotności.

Nie tylko jednak pasja jest zaletą publicystyki Jasienicy. Cechuje ją także wielka konkretność. Dla Jasienicy świat nie jest polem walki między romantyzmem a neopozytywizmem, nie — istnieją na nim tylko „ja i ta reszta“. Jasienica w sposób rzadko spotykany w naszej publicystyce ustępuje miejsca tematowi. Gdy pisze o Ziemiach Odzyskanych, nie dowiadujemy się co jadł, gdzie spał i z gościny którego starosty korzystał... Z reportaży bucha paląca problematyka tych Ziem, pokazana w błyskawicznych migawkach, wstrząsających skrótach, ciosami po prostu w dialogach. Jasienica nie powtarza tego co już widział i z temperamentem rasowego publicysty opisał Koźniewski. Jego reportaż jest inny: mniej rozbiegający się w szczegółach, więcej plastyczny i więcej syntetyczny. Sięga zawsze korzeni jednego społecznego zagadnienia i trzyma się go mocno. Jasienica nie traci nigdy kontaktu z rzeczywistością. Naturalnie: nie tylko widzi, także wyciąga wnioski, ale to są zawsze wnioski, które nasuwa życie, a nie filozofia.

Spod skóry reportażysty wyziera z Jasienicy socjolog, spod socjologa — moralista. To go zbliża do innego publicysty, również wysuwanego do nagrody: do Majdańskiego. Majdański jest w zakresie poruszanych przez siebie spraw węższy, ale za to jeszcze bardziej konkretny, prawie mimochodem wskazuje na jakąś bolączkę — i idzie dalej. Majdański — starszy doświadczeniem — wie, że najpewniejszą metodą jest zrobienie wszystkiego samemu. Mało jest problemów wydobytych z nieistnienia i rozpracowanych aż do ostatniej konsekwencji jak problem, któremu Majdański poświęcił życie. Niewątpliwie to już przestaje być publicystyką — zamienia się w maniactwo czy apostolstwo — zależnie od tego jakim językiem mówimy.

Publicystyka Jasienicy jest publicystyką „czystą“. Rzadko doprowadza do sformułowań. Ale niepokoi. Wywołuje stany zapalne. W społeczeństwie, w którym większość skłonna jest zawsze do spania, publicystyka musi budzić. Musi krzyczeć. I ten skromny, zawsze uśmiechnięty pisarz, pisuje krzykiem.

Wspomniałem o niewyżytej pasji wojskowej. Ta pasja doszła do głosu, gdy Jasienica zaatakował „kampanię wrześniową“ Kirchmayera. Później dyskusja stała się niemożliwa, ponieważ starano się w Jasienicę wmówić to, czego nie powiedziałem na początku — poza szeregiem innych kwestii — była to walka przeciwko tezie, która zresztą wbrew Kirchmayerowi wymykała się z jego książki — tezie, że żołnierz polski już po paru dniach kampani był niezdolny do dalszej akcji wojskowej. Nie wydaje mi się zresztą — nawiasem mówiąc — aby który z adwersarzy mógł w tej dyspucie zwyciężyć. Kirchmayer patrzył na wojnę z wysokości oficera sztabowego, dla którego żołnierzem zdolnym do walki jest żołnierz posiadający obok koszarowego „morale“, uzbrojenie, odzież, żywność, zaplecze. Jasienica patrzył na nią z perspektywy porucznika, który się bije i który wie, że nawet bosy i głodny żołnierz potrafi być zwycięzcą.

Jeżeliby nawet Jasienica w tej dyskusji nie miał w ogóle racji — nic by to nie dowodziło. Jasienica, na szczęście, należy do publicystów, którzy się mylą. Mówię na szczęście, bo nieomylny publicysta katolicki budzi rozpacz.

Jasienica jest publicystą katolickim. Powiedziałem, że u niego pod skórą socjologa czy porucznika siedzi moralista. To chyba mało. Lepiej powiedzieć wprost: ktoś kto chce być katolikiem... Osobiście nie uważam za słuszne sformułowania: jestem katolikiem, jesteś katolikiem, jest katolikiem... katolikiem być — to jest tak dużo! Myślę, że każdy chciałby być takim katolikiem, jakim tylko katolik może zostać. Ale zanim się katolikiem zostanie, jesteśmy tymi, którzy chcą być katolikami. Ludźmi w drodze.

U Jasienicy ta wytyczna: chcę być katolikiem, brzmi mocno. I brzmi we wszystkim, co wyrasta spod jego pióra. Bez pozy, bez bicia w bęben, bez miażdżenia innych swoim katolicyzmem. Skromnie ale jasno i otwarcie.

Jan Dobraczyński

Rysunki M. Rudnickiego z wręczenia nagrody

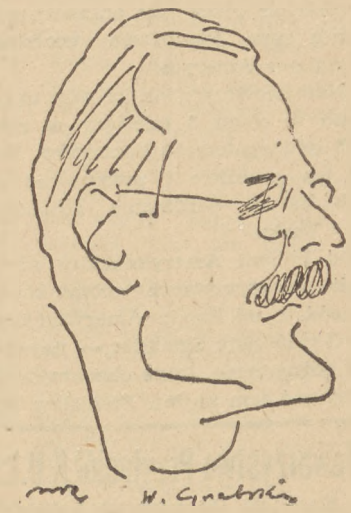

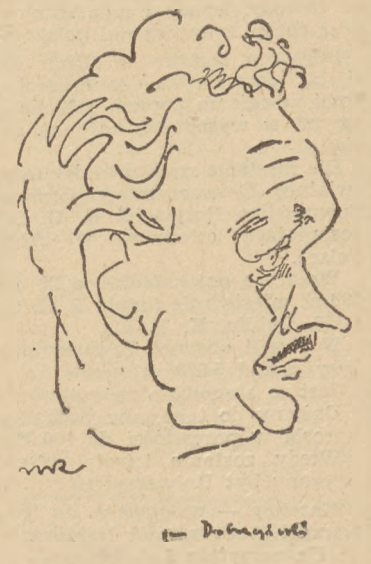

MALEWSKA

storycznym. Dzięki temu „Wiosna grecka“ dotarła do bibliotek szkolnych, polecona jako lektura szkolna adeptów wiedzy o antyku.

Już wtedy odkryła w sobie Malewska dwa swoje atuty twórcze: wiedzę i talent, pracowity upór, który dostarcza materiału twórczego oraz zdolność przetwarzania go w trafny kształt wizji poetyckiej. Uświadomioną sobie drogą twórczą kroczy konsekwentnie dalej. Każde jej dzieło następne jest wynikiem dużej i mozolnej pracy przygotowawczej, pracy źródłowego historyka, który dąży do rekonstrukcji przeszłości, ale pracy na usługach artysty, który już od Arystotelesa jest prawdziwszy od samej rzeczywistości, (nie mówiąc już o syntezach uczonego, poszukującego obiektywnego odpowiednika rzeczywistości). Taka jest jej wizja szesnastowiecza w „Żelaznej koronie“; powieść tę niektórzy badacze i bracia po fachu uważają nawet za największe dotychczas osiągnięcie twórcze Malewskiej.

Kto wie, czy nie jest najtrudniej pisać powieść historyczną z niebardzo odległej przeszłości. Myślę, że z większymi trudnościami musiała się spotkać Malewska, pisząc vie romance Cypriana Kamila Norwida „Żniwo na sierpie“, niż np. „Kamienie“. Przy materiale bliższym swoboda twórcza jest mniejsza: realia nieubłaganie kontrolują pisarza, pilnują każdego ruchu pióra, czekając na potknięcie, lapsus calami. Stąd może słuszne, co słyszałem, że powieść norwidowska jest słabsza od innych.

Od tych spraw nagły przeskok Malewskiej do średniowiecza, do „Kamienie wołać będą“, wyróżnionych specjalnie przez jury. Postąpiono chyba właściwie. Przypatrzmy się bliżej tej powieści.

Nie daje ona wizji człowieka wielkiego w historii. Mamy w niej wprawdzie ludzi historycznych, w pierwszym rzędzie św. Ludwika. Ten jest wielkim niewątpliwie, kiedy głosi wyprawę krzyżową. Może jest większym, kiedy idzie na nieefektowną, cichą ofiarę usług trędowatemu. Tutaj zaczynamy odczuwać obecność prawdziwego bohaterstwa życiowego; jego reprezentantami są ludzie cisi, przeciętni, nieefektowni aparycją zewnętrznej postawy życiowej. Należą do nich przedstawiciele franciszkańskiego życia, którzy praktykują świętość codziennie, sami nie wiedząc o niej. Powieść jest afirmacją chrześcijańskiej wiary w wartość odradzania się z upadku, jest afirmacją triumfu dobra nad złem, który się stale dokonuje, jest wyrazem szacunku dla tak zwanych wartości humanistycznych w życiu. Wysiłek zewnętrzny symbolizuje w powieści jej kościec kompozycyjny, którym jest katedra w Beauvais: wysiłki wszystkich, zarówno inicjatorów, mistrzów, kierowników, jak i szarego pospólstwa skupiają się w jednym celu, którym jest dźwignięcie takiej katedry, która będzie równa katedrze w Chartres. Z całej atmosfery „Kamieni“ emanują wartości, które i człowiek dzisiejszy uzna za swoje, uzna za takie, dla których warto żyć. Oczywistą jest rzeczą, że wartości, o których mowa, są dla nas realne tylko dzięki kunsztowi literackiemu Malewskiej. Kunszt ten wyraża się środkami prostymi, naturalnymi, pozbawionymi hieratyzmu, patosu, koturnowości, tej monumentalności, które łatwo zwodzą pisarza na manowce i manierują go, zapatrzonego w przeszłość. To się zdarzało wielu pisarzom, nieraz wcale niepoślednim. Będą ludzie mówić, że Hanna Malewska urodziła się w czepku. Któraż to już nagroda spada na nią? Siódma czy ósma?

Nie o to chodzi. Chodzi o wyższe nienie autorki, która posiada konsekwentnie realizowany pion moralny: przecież nawet ostatnio „Stanica“ głosi ten sam triumf humanistycznych wartości w życiu, które widzimy gdzie indziej u niej. Chodzi również o podkreślenie wyraźnego typu twórczości, który także jest realizowany konsekwentnie — i to mimo przeszkód, które widzę w wielkiej rozpiętości zainteresowań twórczych Malewskiej, przerzucających ją od antyku do renesansu, a od renesansu do średniowiecza.

Chodzi o tak zwany charakter w pie twórczości, w walorach treści i formy, co wszystko sprowadza się w gruncie rzeczy do jednego wspólnego mianownika: charakteru osobowości twórczej. Ta zaś jest nieodłączna od pewnej określonej osoby.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Karol Namysłowski

(Dokończenie ze str. 5-ej)

przewyższającą sześciokrotnie cały jego rodzinny majątek.

Kościół przetrwał do dziś. Z własnych zbiorów (około 400 obrazów) kilka tylko znajduje się w Zamościu w Muzeum, reszta, jak również cenne książki i instrumenty uległy w czasie wojny zniszczeniu...

Umiłowanie sztuki muzycznej, talent i współpracę z ludem — przekazał swym dzieciom. Jeszcze bowiem na kilka lat przed śmiercią, wskutek nadmiernego wysiłku i ślęczenia po nocach, zaczął coraz bardziej niedomagać na oczy, aż stracił wzrok zupełnie.

Starszy syn Stanisław (obecny dyrygent ork.), który skończył wyższe studia muzyczne w Warszawie i w Pradze Czeskiej — chociaż mu proponowano w filharmonii w Pradze stanowisko dyrygenta — wrócił jednak pod rodzinną strzechę, aby objąć po ojcu trud upowszechnienia sztuki — wśród ludu.

Pomaga mu w tym, w ciągu swojego krótkiego życia młodszy brat, Edmund, niezwykle utalentowany skrzypek, grając jako solista.

Cały bowiem zespół orkiestry włościańskiej, nie tracąc swojego charakteru ludowego zostaje przekształcony na orkiestrę symfoniczną. W repertuarze swoim ma tak niełatwe utwory, jak „Step" Noskowskiego, „Bajkę" Moniuszki, „Polonię" Wagnera i wiele innych...

Karol Namysłowski, chociaż ociemniały, nie przerywa swej pracy... Do końca życia kształci młode siły muzyków, — komponuje, a nawet niekiedy, szczególnie w kościołach dyryguje jeszcze swoją ukochaną orkiestrą z pamięci.

U SZCZYTU SŁAWY

W dziejach orkiestry jest to okres jej najwspanialszego rozwoju... Liczy teraz ponad 50 doborowych muzyków... Ma świetnego dyrygenta, jest jedną z najlepszych orkiestr symfonicznych w kraju. Podczas tournee w Rumunii, cieszy się ogromnym powodzeniem...

Największym jednak sukcesem, jakiego w ostatnich dniach swego życia doczekał Karol Namysłowski, było zdobycie przez jego orkiestrę pod batutą syna Stanisława wielkiego uznania w Ameryce.

„Namysłowczy", jak ich tam nazywano w ciągu 3 miesięcy w roku 1925 dali ogółem 80 koncertów. Witał ich osobiście i przemawiał do nich bardzo serdecznie gospodarz New Yorku.

Od Polonii Amerykańskiej otrzymali szereg cennych upominków i nagród, a od Rządu Amerykańskiego Gwiaździsty Sztandar — najwyższe odznaczenie, jakie obcokrajowiec otrzymać tam może... Stanisław Namysłowski przyjęty był bardzo życzliwie w Białym Domu.

Oto sukces, jakiego doczekał jeszcze, ale nie mógł już oglądać ojciec i twórca tego dzieła Karol Namysłowski. Sukces prawdziwy i niemały, jak niemałym był dla polskiej kultury trud tego niepospolitego człowieka — jak prawdziwą była jego demokracja.

Zakończył swój utrudzony żywot dnia 21 sierpnia 1925 r. Uroczystym pogrzebem, w którym wzięły udział tysiączne rzesze chłopów — pochowany został w grobie rodzinnym na cmentarzu w Starym Zamościu.

STANISŁAW NAMYSŁOWSKI

Który tak godnie i zaszczytnie podjął prace ojca—po powrocie z Ameryki nie spoczął na laurach, lecz dalej prowadzi wciąż żmudną wędrówkę od miasta do miasta — szerząc kult piękna muzyki narodowej. Orkiestra jego gra na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, potem w dobie wzmagającego się kryzysu daje szereg koncertów na cele bezrobotnych, a w ostatnich latach przed wojną opodatkowuje się w wysokości 10 proc. od wszystkich koncertów na rzecz Funduszu Obrony Narodowej.

Niestety, świadczenia te od niczego orkiestry w czasie wojny nie uchroniły. Zespół został uszczuplony do liczby 28 osób. Wszystkie instrumenty znajdujące się w Chomęciskach już w roku 1944 uległy całkowitemu bezmyślnemu zniszczeniu, a Stanisław Namysłowski, który przeżywał Powstanie w Warszawie stracił w nim swoje cenne skrzypce

Mimo to, jakkolwiek musiał walczyć z dużymi trudnościami strony materialnej, jednak przy życzliwym poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki — orkiestra znowu powstała do życia — pod nazwą Reprezentacyjnej Orkiestry Włościańskiej St Namysłowskiego.

Swoje pierwsze powojenne tournee rozpoczęła orkiestra od stolicy Polski, dając 19 października 1946 roku pierwszy koncert w Prezydium Rady Ministrów, a następnie w „Romie", u „Wedla", w „Centralnym Domu Żołnierza", „na Filtrach", przy Otwockiej — łącznie 9 koncertów dla publiczności i młodzieży szkolnej.

Na wszystkich tych koncertach orkiestra przyjmowana była bardzo serdecznie, a ci, którzy znali Namysłowiaków jeszcze sprzed dawnych lat, grywających na Dynasach i w Dolinie Szwajcarskiej — nie mogli się powstrzymać od głośnych okrzyków radości i uznania — co na salach koncertowych tak rzadko się zdarza.

Drugie powojenne tournee odbyła Orkiestra Namysłowskiego w roku bieżącym po Ziemiach Odzyskanych, od Sopot i Gdańska, aż po Wrocław i Wałbrzych — które to miasto, nadając jednej z ulic nazwę ulicy Karola Namysłowskiego — uczciło w ten sposób jego cenną pracę dla polskiej kultury i sztuki muzycznej.

W roku 1947 Reprezentacyjna Orkiestra Włościańska Stanisława Namysłowskiego, (w 62 roku istnienia) programem swego objazdu znowu objęła Warszawę, gdzie w dniu 27 i 28 września dała szereg koncertów z okazji Święta Spółdzielczości i jeden koncert dla Zw Zawodowych na Fundusz Odbudowy Stolicy.

Ponieważ Stanisław Namysłowski nie ma nikogo w rodzinie, kto mógłby kiedyś objąć po nim tę pracę, jak on objął po ojcu — gorącym jego pragnieniem jest założenie w rodzinnych Chomęciskach Muzycznej Szkoły Ludowej — która mogłaby i nadal, gdy zabraknie Namysłowskich szerzyć piękno sztuki muzycznej, wśród szerokich mas.

Józef Majkut

Towarzystwo Przyjaciół K.U.L.

Katolicki Uniwersytet Lubelski jest w pewnym znaczeniu własnością całego katolickiego społeczeństwa polskiego.

Utrzymują go ze swoich ofiar wszyscy, a więc mężczyźni i kobiety, robotnicy, urzędnicy i wolne zawody, kupcy i rzemieślnicy oraz chłopi z każdej wsi polskiej.

Doroczna zbiórka w „Dniu K. U. L." pozwala każdemu katolikowi polskiemu poprzeć szlachetny cel w wysokości, na jaką go stać.

Dla niesienia stałej pomocy materialnej Uniwersytetowi istnieje Towrzystwo Przyjaciół K. U. L., posiadające członków w całej Polsce.

Wpłacają oni składki od 20 do 200 zł. miesięcznie (konto P. K. O. I-153, Lublin, K. U. L.).

W chwili obecnej Towarzystwo liczy ponad 5.000 członków.

Jest to stanowczo za mało.

Dążymy do tego, aby liczba ta wzrosła w przyszłości do 100.000.

Wtedy zostanie trwale zabezpieczony byt Uniwersytetu.

Katolicy — wstępujcie do Towarzystwa Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Wędrówki po scenach polskich

„I inni", czy „a inni"?*)

Z tytułem tej sztuki Gorkija zaszło chyba jakieś nieporozumienie. Chodzi o drobną subtelnostkę językową. „Jegor Bułyczow i inni". Co by to miało znaczyć? Gorkij chciał przedstawić w swej sztuce obraz zdegenerowanego środowiska mieszczańskiego Rosji Carskiej. Zamierzeniem autora było, aby każdy kto sztukę tę obejrzy powiedział sobie, wychodząc ze spektaklu: nic dziwnego, że wybuchła rewolucja październikowa. Była ona koniecznością. Świat Dostygajewów i Zwoncowców musiał się zawalić.

Teza przeprowadzona została subtelnie i sugestywnie. Taka właśnie konkluzja nasuwa się każdemu, kto przez dwie godziny przypatrzy się temu, co się dzieje w domu Bułyczowa. Wróćmy teraz do naszych wątpliwości. „Jegor Bułyczow i inni". to znaczy, że weszliśmy w świat ludzi z których każdy mógłby się nazywać Bułyczow. Słowem: Bułyczow, Zwoncow, pop Pawlin są jednakowi, tylko miejsca w tytule nie starczyło by ich nazwiska wymienić. A przecież między Bułyczowem, a innymi mimo wszystkie pozory, istnieją różnice i to tak zasadnicze, jakby chodziło o ludzi z różnych planet.

Zwoncow, cała szanowna rodzinka Bułyczowa, wyłączając oczywiście Aleksandrę, Dostygajew to są ci, na których nie było innego, jak rewolucja lekarstwa. Niczym nie można było im przemówić do sumień. Każdym swoim czynem, każdym słowem, każdą myślą wydawali na siebie wyrok.

Bułyczow wyrósł razem z nimi. Ongiś był taki, lub jeszcze gorszy, od innych. Przewaga jego nad całym tym motłochem zarysowała się jednak w jakimś tam momencie, w którym w głowie przejaśniało, kiedy poznał wartość swego życia. I to go wyróżniło zdecydowanie od żony, od ślubnej córki, od zięcia i innych Raczej więc „a inni", niż „i inni", tym bardziej, że Bułyczow różni się także od innego jeszcze świata, od mieśmiało w sztuce zarysowanej postaci Jakuba Łaptiewa, od świata, w którym dojrzewała rewolucja.

Bułyczow znalazł się jakby między pokoleniami. Zrozumiał zło swego życia, ale nie potrafił dotrzeć do prawdy. Dlatego musiał się czuć w swoim domu samotnie, musiał żyć w skłóceniu ze światem i dlatego, musiał umrzeć właśnie akurat w tej chwili, w której za oknami zabrzmiała z ust manifestantów pieśń rewolucyjna. Moment ten wykorzystał Gorkij arcymistrzowsko. Przypomnijmy sobie zachowanie się Aleksandry. Wyrosła ona z Bułyczowa, wyrosła w jego nienawiści do kłamstwa, wyrosła jednak z jego ślepoty na prawdę. Jej choroba jednak była uleczalna. Podświadoma sympatia dla spiskujących jest tego dowodem. Trzeba było jakiegoś wypadku, by przejrzała. I oto ta sama pieśń rewolucyjna otworzyła jej oczy. Ukochany ojciec zwalił się na ziemię, przypuszczalnie martwy, ale chwila była tak dziwna, że ważniejszym było to, co działo się na ulicy. Uśmiech, którym Aleksandra obdarzyła manifestację, to pierwszy jej krok do nowego świata, krok już mocny, zdecydowany, niedwuznaczny.

Bułyczow umarł, bo umrzeć musiał, bo był z innego świata, ale to właśnie on stworzył takie podstawy charakteru Aleksandry, że mogła ona później dojrzeć do innego, wartościowego życia.

Krasnowiecki podszedł do realizacji sztuki bardzo jednostronnie: spojrzał na nią od strony postaci tytułowej. Sam jako Bułyczow zasłużył na najwyższe pochwały. Sceny jednak, w których jego nie było kulały, a czasem brzmiały tak fałszywie, że uszy bolały. Mimo to, dla samej roli Krasnowieckiego, sztukę warto było zobaczyć. Wiele usterek wynikło oczywiście i z winy Gorkija, który zresztą nie miał zbyt wysokiego mniemania o swoim dramatopisarstwie i któremu żadną miarą słuszna krytyka „Bułyczowa" zaszkodzić nie może.

Poza Krasnowieckim wyróżnić trzeba Janinę Jabłonowską (Melania), Irenę Krasnowiecką (Aleksandra), Mariana Jastrzębskiego (Trębacz) i Jerzego Fitio (Propetiej)

Mieczysław Markowski

*) Wizyta Państwowego Teatru Śląskiego Katowic w Warszawie, M. Gorkij — Jegor Bułyczow i inni. Sztuka w 3 aktach.

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Krzysztof Gruszczyński, „Płomień czerwonych krawatów", wyd. „Książka", Warszawa — 1948, str. 22.

Krzysztof Gruszczyński, jeden z przedstawicieli młodej lewicy poetyckiej, miał odwagę nie tylko wysunąć w Nieborowie zdecydowany postulat całkowitego upolitycznienia poezji, ale pokusił się także o zrealizowanie tego postulatu w ramach swojej twórczości. W jednym z numerów młodzieżowego pisma „Po prostu" ogłosił poemat „Gołębiarz—agitator ma głos", który obecnie pt. „Płomień czerwonych krawatów" ukazał się wydany w osobnej broszurze. Odwaga godna lepszej sprawy i lepszych wyników. Chociaż autor wyraźnie (widocznie pełen złych przeczuć) stara się zaakcentować, że nic go nie obchodzi, co „gdacze kokosza — krytyk". warto poza murek jego nonszalancji przerzucić wiązankę zastrzeżeń. Nie mamy nic przeciwko temu, że Gruszczyński „dziś Zet - Wu - Em rozsławia". Ale pamiętać należy, że Majakowskij był jeden, jego poezja stanowi fenomen niepowtarzalny, naśladownictwo, zwłaszcza tak jaskrawe, jak w „Płomieniu czerwonych krawatów" razi dysproporcją wartości wzorca i odbitki. Tak jakby ktoś barwne pastele odrysować chciał przez kalkę. Gruszczyński o tym nie pomyślał. Wynik smutny: w jego poezji nie ma i Majakowskiego i Gruszczyńskiego. A przecież czytujemy jego liryki w czasopismach literackich i wiemy, że mają one swoją specyficzną wartość. Przepadła ona w próbie upolitycznienia poezji — kosztem poezji.

To jedno.

Nasuwa się druga uwaga, dotycząca samej treści poematu. Upolitycznianie poezji nie powinno być symplifikowaniem polityki, panegiryzowaniem partii. W każdym wierszu wyczuwa się u Gruszczyńskiego źle zakonspirowaną ambicję mitotwórczą. Za wcześnie na mity. Widocznie za wcześnie i na prawdę. Nie za późno jednak chyba — a na pewno nie za wcześnie — na ostrzeżenie: ze ślepego zaułka epigonizmu, w który zapędzić może buńczuczna odwaga nadgorliwego neofity, trudno wyjść na drogę rzetelnego rozwoju poetyckiego.

Józef Bojar, „Serce ziemi", Biblioteka Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. S., Kraków — 1948, str. 46.

Tomik wierszy Bojara miał zapewne zbogacić skarbiec tzw. literatury chłopskiej. Mając dla tej literatury jak najwięcej sentymentu i życzliwości, trudno cieszyć się niedźwiedzią przysługą, jaką jej wyświadczył autor „Serca ziemi". Prymitywizm doznań i nieporadność tłumaczenia ich wierszem nie dają ku temu chyba nawet najmniejszych powodów. Przeciwnie: niepokoją i smucą. W wydaniu tomiku Bojara dostrzec można symptom przykrego zjawiska: nadaje różnym nienaturalnym płodom rangę utworów literackich ze względu na jakieś pozaliterackie, powiedzmy: deklamacyjno - programowe zasługi autora. Bojar wyraźnie mówi, że jest „synem wsi", że staje do walki „o nową, chłopską wieś". Ale to nie wystarcza, aby reprezentować jego dorobkiem poziom, chociażby najwyrozumialej potraktowany, literatury chłopskiej. Oto wyjątki o sile argumentów:

Stara chata omurszała
pochyliła się latami;
wiele... wiele lat przestała
i burz przeszła razem z nami.
Albo fragment wiersza o młocce:
Już cztery konie w kieracie,
Wciąż chodzą a chodzą w koło;
Młocarnia rozgłośnym hukiem,
Takt im wygrywa wesoło.

Chyba trudno zdobyć się w stosunku do takiej „poezji" na coś więcej, niż życzliwe stwierdzenie, że nie tędy droga do zbogacenia literatury chłopskiej.

Jan Sztaudynger, „Strofy wrocławskie", Wydawnictwo Zachodnie, Poznań — 1947, str. 80.

Tomik wierszy Sztaudyngera jest ciekawą realizacją oryginalnego „zamówienia społecznego". Ma on ambicję wprowadzenia wielu pięknych legend wrocławskich do literatury polskiej, dąży do stworzenia poetyckiego dokumentu polskości Ziem Zachodnich, z zapomnianych opowieści, starych kronik i bajek wydobywa regionalny urok Wrocławia, manifestuje jego kulturalną przynależność do Polski.

Jak harmonijnie udało się autorowi ten wybitnie społeczny, ba, „państwowotwórczy", wyraźnie utylitarny cel pogodzić z wymogami kunsztu pisarskiego, a czasami nawet prawdziwie lirycznej bezpośredniości, świadczyć mogą takie wiersze, jak „Uśmiech sennych aniołów", „Piernikowa ballada", „Zaginęło", czy „Modlitwa do św. Jana Chrzciciela. polskiego patrona Wrocławia".

Są to jedyne chyba w powojennej twórczości poetyckiej pozycje poświęcone ad usum Delphini i — sobie a Muzom.

Od całości tomu powagą i głębią zamiarów odcinają końcowe „Apostrofy". One — rzecz znamienna — stanowią chyba najsłabszą część zbioru. Na szczęście nie zacierają w pamięci czytelnika miłych wrażeń, które budzą poprzednie pozycje. Chciałoby się tu cytować i „Małego świętego" i „Białe pantofelki" i list Słowackiego do matki...

Oczywista, mimo wszystko, wyczuwamy, że to tylko pożyteczna zabawa świetnego rzemieślnika słów, ale w czasach rozwielmożniania się tandety literackiej kontakt z solidnym rzemiosłem artystycznym może chwilami wynagrodzić nam brak uczuciowej głębi, czy porywającej prawdy poetyckiej przeżycia.

Zyg. Lich.

SPROSTOWANIE

W artykule p. Al. Gelli p. t. „Dyskusja nad „Rozdrożem Miłości" zamieszczonym w numerze 19/128 naszego pisma wkradł się błąd.

Pierwsze zdanie trzeciego akapitu pierwszej szpalty na str. 6 winno brzmieć: „Szczęśliwie się złożyło, że sztuka Zawieyskiego, która jest w powojennym teatrze wydarzeniem o dużym ciężarze gatunkowym, spotkała się z podwójną interpretacją sceniczną".

FILM

„Bitwa o szyny" jest ciekawą rekonstrukcją trudnych do odtworzenia fragmentów walki o Francję. Na ogół film stwarza pozory autentyzmu. Najmniej przekonywująca jest pierwsza część, która ma dać skrót techniki sabotażu kolejowego Nagromadzono serię brawurowych aktów dywersji, które przez to, że dają się tak łatwo wydają się nieprawdopodobne. Dalszy ciąg filmu natomiast jest historią jednego transportu. Akcja jest zwarta, obfitująca w sceny o dużym napięciu. Trzeba podkreślić dwie zasadnicze, bardzo dodatnie cechy: brak fałszywego patosu i humor. Film tego rodzaju zawsze jest narażony na niebezpieczeństwo przejaskrawienia. Tutaj natomiast akcenty bohaterstwa rozłożone są umiejętnie. Pierwszy napad partyzantów na transport przynosi im druzgocącą klęskę — dopiero druga próba wysadzenia udaje się. Maszynista, który bez drgnienia oka podejmuje się wykolejenia pociągu (wspaniała w swojej prostocie scena), nie jest bez trwogi, przeżywa momenty normalno ludzkiego strachu. Realizatorzy filmu nie każą mu ginąć bohatersko, wyskakuje on przed decydującym miejscem

Obraz zawiera szereg scen humorystycznych i wśród bohaterów są postacie, które wywołują uśmiech widza. Piękna jest scena rozstrzelania zakładników, która może być przykładem osiągnięcia maksymalnej ekspresji przy jednoczesnym braku jakiegokolwiek efekciarstwa. Wielkim walorem filmu są doskonałe zdjęcia plenerowe. Jest to jeden z najciekawszych obrazów, opartych na tematyce wojennej i najlepiej zrealizowanych.

Leszcz

przekręceń, zapomnień, omyłek nie starczyłoby palców u obu rąk.

Jeśli przypominam to dzisiaj, to nie po to, aby p. Jakimiakowi dokuczyć, czy dać broń w rękę jego przeciwnikom, lecz dlatego, że w jego ataku na mnie widzę rezultat tej samej właściwości: skłonności do gwałtownego i apodyktycznego mówienia o rzeczach, których się nie zna, albo zna bardzo pobieżnie. Chodzi o liberalizm. Jak widać z wypowiedzi p. Jakimiaka, polemizując ze mną ma on na myśli w ogóle tylko liberalizm XIX-o wieczny, wyrosły na podłożu mieszczańskiego kapitalizmu, a nie słyszał zgoła nic o dzisiejszych koncepcjach neoliberalistycznych, rozwijających się na Zachodzie i nawiązujących bezpośrednio do chrześcijaństwa. Jeśli nie napisałem dotąd o tych sprawach bardziej szczegółowo to dlatego, że w przeciwieństwie do pana Jakimiaka nie mam zwyczaju pisać o rzeczach, których nie znam dokładnie; jestem w tej chwili w trakcie studiowania słynnej książki czołowego na Zachodzie ideologa neoliberalizmu **Wilhelma Röpke** p. t. **„Kryzys społeczny naszych czasów"** („Die Geselschaftskrisis der Gegenwart", Zürich, 1942), książki polecanej zresztą za granicą przez wydawnictwa katolickie. Może i p. Jakimiak przeczytałby tę rzecz? To nigdy nie zaszkodzi.

P. Jakimiak twierdzi, że liberalizm nie jest problemem ani ważnym, ani katolickim. Znowu twierdzenie, rzucające światło na beztroską ignorancję i ciasnotę horyzontów jego autora. W epoce, gdy kolosalne trudności społeczne, jakie stanęły przed ludzkością, rozwiązywane są na drodze gospodarki planowej (wszak amerykanizm nie jest również niczym innym, jak **kapitalizmem planowym**), w epoce, gdy planowość ta podbija coraz to nowe dziedziny, z kulturą, sztuką i wychowaniem włącznie — w epoce tej przed katolicką koncepcją wolnej woli i personalizmu, koncepcją stanowiącą nieodłączny, zasadniczy składnik nauki chrześcijańskiej staje najcięższy, najbardziej ważki problem, jaki napotkała ona na przestrzeni wieków. Jak pogodzić nowoczesne koncepcje planowania we wszystkich dziedzinach — z ideą indywidualnej drogi moralnej i życiowej każdej jednostki, z ideą wyboru własnej, w ramach katolicyzmu, koncepcji dążenia do Prawdy, z ideą samodzielnego zdobywania tej Prawdy, poprzez indywidualny wysiłek duchowy — oto jest, wydaje mi się, najważniejszy problem katolickiej myśli społecznej w dniu dzisiejszym. Ważniejszego w tej chwili nie widzę; jeśli p. Jakimiak widzi — niechże go wskaże.

Na zakończenie parę słów **pro domo sua.** P. Jakimiak ubolewa, że okres mojego „katechumenatu" trwa tak długo. Za serdeczną troskę o mój rozwój duchowy — Bóg zapłać! W pokorze wyznaję, że moja droga do Prawdy żmudna jest i powikłana, rozwój wewnętrzny postępuje powoli, nie to, co u p. Jakimiaka, któremu z racji trwałego osiągnięcia pełnego i doskonałego katolicyzmu, mogę tylko przesłać słowa podziwu oraz gratulacje.

Stefan Kisielewski

ODPOWIEDŹ NA ART. DYSKUSYJNY

p. W. Żółkiewskiej, p. t. „O małżeństwie udoskonalonym i o losie kobiety samotnej", zamieszczonym w N-rze 9 „Mody i życia praktycznego"

Zadajmy sobie najprzód pytanie, jakie powinno być dzisiejsze małżeństwo?

P. W. Żółkiewska w swym art. wskazuje nam na 2 typy małżeństw z lat dawnych, z których 1-szy opisany przez francuskiego pisarza Balzaca, w ogóle nie nadaje się do dyskusji na naszym gruncie.

Drugi typ, przekazany nam przez dzieła: Sienkiewicza, Orzeszkowej Zapolskiej i innych, jako małż. patriarchalne, oparte na wierze w jedność i trwałość rodziny, w którym mąż jest filarem — głową rodziny, a żona oddana jest swym obowiązkom domowym i wychowaniu dzieci.

P. Żółkiewska wywodzi dalej, że takie małż. jest już dziś przestarzałe i żadną miarą dzisiejszego małż. nie da się wtłoczyć w ramy wyżej omówionego.

Otóż nie tylko, że powinniśmy dzisiejsze małż. oprzeć na dawnych trwałych zasadach, **ale musimy koniecznie to uczynić,** aby jutro mogło należeć do nas, w sensie znaczenia narodu polskiego na przyszłość.

Małżeństwo dzisiejsze, które chce się oprzeć na prawie jednostek, zawierających go, do swobodnego dysponowania swoją osobą — jest nie do pomyślenia i nie ma żadnej przyszłości, nie mówiąc już o konsekwencjach, wynikających stąd dla narodu, czego przykładem jest dla nas Francja. Małżeństwo nie oparte na wartościach moralnych, gwarantujących normalny jego rozwój i jasną przyszłość jego potomstwa, to luźny związek, którego skutki nie są pożądane, ani dla zainteresowanych w nim jednostek, ani dla stron trzecich.

Rozumie to dzisiaj zdrowa i zdolna do poważnego zastanowienia się część społeczeństwa, o czym pisze i p. Żółkiewska, że usiłuje się wtłoczyć dzisiejsze życie rodzinne w ramy przedwojenne, tłumacząc to, łatwością powrócenia do starego wzoru.

Przekonamy się później, że ten stary wzór wcale nie jest taki łatwy do zastosowania go przez dzisiejszych ludzi.

Cóż więc stoi temu na przeszkodzie?

Otóż 1-szy i najważniejszy powód, jaki podaje p. Żółkiewska, to ten, że mężczyzna nie odegra już roli głowy rodziny, bo nie ma na to czasu. Pochłaniają go bowiem całkowicie sprawy zawodu, zarobku, przemian życia; życie jego rozszerzyło się na związek zaw., radę miejską, sejm, na świat. Jednym słowem wszechstronne jego absorbujące zainteresowania, wypełniają mu całe życie, w którym nie ma już miejsca na zagadnienie rodziny. Jeśli to ma być jego ideałem i najważniejszym dążeniem, to zachodzi pytanie, czy takiemu mężczyźnie w ogóle potrzebne jest małżeństwo i życie rodzinne! Jasnym chyba z tego jest, że to tylko dla niego niepotrzebny balast. Po co mu więc narzucać nowe obowiązki. Dodajmy mu jeszcze do jego zamiłowań — stołówkę, pralnię, szwalnię, boisko sportowe, życie małżeńskie — z powodzeniem wypełnią mu kabaretowe piękności — i niech sobie żyje szczęśliwy. Nigdy zaś podług takich charakterów, zamiłowań i dążeń — nie odważajmy się reformować powojennego małżeństwa i życia rodzinnego, **bo instytucja to święta, ustanowiona przez samego Boga, a co za tym idzie nietykalna.**

Mamy tylko prawa, a nawet obowiązek usunięcia z niej tego, co tą jej świętość podważa. A tym największym złem w dzisiejszym małżeństwie, to brak zasad moralnych. Fałsz, nieszczerość, a nieraz i podłość rozsadzają go, co jest wynikiem ciężkich dziś warunków życiowych, w których chcemy kroczyć po linii najmniejszego oporu, nie chcąc nagiąć karku i uznać coś za święte i nienaruszone.

Moralności brak dzisiejszemu mężczyźnie, jak i kobiecie i nad tym trzeba popracować. Bo zainteresowanie mężczyzny życiem zaw., społ. i politycznym — było i być musi. Nie może jednak teraz wysuwać się na plan 1-szy, gdyż 1-sze są jego obowiązki względem najbliższych i nie ma tak ważnej sprawy, która by go z tego zwalniała, bo rodzina to podstawowa komórka w organizmie społeczeństwa i państwa i na niej zasadza się rozwój tego organizmu. Są tylko wyjątkowe chwile, które mogą mężczyznę zwolnić z jego obowiązków wzgl. najbliż. — coś zasadniczo; zagrażającego dobru Ojczyzny, a tym samym i rodziny, poza tym — nic.

Kobieta dzisiejsza nie ma więc potrzeby dostosowywać się do dzisiejszych rozległych drugorzędnych zainteresowań mężczyzny.

Najważniejszym jej dziś zadaniem i dążeniem, to przede wszystkim osiągnięcie przez nią samą wyższego poziomu moralnego, bo sprawa ta przedstawia się dziś katastrofalnie i jest powodem demoralizacji mężczyzn i młodszego pokolenia.

Następnie musi dążyć do zajęcia swej utraconej i podważonej przez nią pozycji w małżeństwie patriarchalnym i wzbogacenia jej należytym przygotowaniem do życia. Rola bowiem dzisiejszej kobiety w małż. jest trudniejszą od roli kobiety dawnej mającej zabezpieczoną swą przyszłość, przez jej rodziców, dających jej posag, a nie przez mężów—jak pisze p. Żółkiewska—którzy go najczęściej trwonili. Dziś kobieta posagu w majątku nie dostaje, lub minimalny, musi dlatego posiadać wykształcenie lub jakiś zawód, aby w cięższych warunkach mogła przyjść mężowi z pomocą, lub w wypadku, gdy zostanie sama — by mogła żyć samodzielnie.

I tutaj słuszne jest twierdzenie p. Żółkiewskiej, że kobieta nie powinna nigdy kurczowo trzymać się męża, by jej dał utrzymanie, gdyż sama musi mieć na to siłę i zdolności. Dzisiejsza kobieta ma szerokie możliwości w życiu, nigdy zaś w nadużyciu, przez życie ponad stan. Jej wymagania życiowe i kulturalne powinny mieścić się w ramach jej możliwości finansowych. Bo jeśli nie zakreśli sobie tutaj granic, nie wystarczy jej mąż dwojący i trojący majątek; nie wystarcza jego mniejsze lub grubsze defraudacje; jego nadużycia w pracy.

Kobieta powinna mieć tę zdrową ambicję, by być skałą wysiłku męża i kompasem jego zainteresowań w sensie dodatnim. Bo mężczyzna chociaż rządzi światem, podlega w mniejszym, czy większym stopniu wpływom kobiety. I tutaj, nie przez olśniewające stroje oraz stopień korzystania z przywilejów życia, ale przez umysł wzbogacony wiedzą, przy odpowiednim poziomie moralnym — wywrze dodatni wpływ na mężczyznę i otoczenie. Nie potrzebuje się obawiać, że będzie nudną, bo prawdziwa wiedza imponuje zawsze i każdemu.

Na kształcenie swego umysłu każda kobieta może znaleźć czas poza swymi obowiązkami żony i matki, w czym jej dziś przychodzą z pomocą zdobycze kulturalne i postępy techniki.

Że zadanie to jest do osiągnięcia klasyczny tego przykład dała nam uczona nasza rodaczka p. Maria Skłodowska - Curie, która nie potrzebowała stołówki ni żłobka, by móc kontynuować swe dociekania naukowe i to jeszcze w trudnych warunkach ze wzgl. na brak finansów do pracy zakrojonej na olbrzymią skalę.

Może więc dzisiejsza kobieta odnaleźć siebie i być sobą i nie ma potrzeby skarżyć się na postępowanie męża, a tym bardziej czynić dla niego ustępstwa, gdy zaniedbuje swe obowiązki lub żyje niemoralnie.

Zacznijmy więc od pracy nad sobą, stawiając sobie za cel — maksimum wymagania od siebie. Łatwiej jest bowiem tworzyć i przeprowadzać reformy niż pokonać i zreformować siebie. Jest to trudne, ale konieczne. Bez tego nie możemy myśleć spokojnie o naszej i następnych pokoleń przyszłości.

Helena Kwiatkowska

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRA"

W numerze 17-tym poczytnego tygodnika Panów z dnia 25 kwietnia b. r. w artykule Podlewskiego Stanisława pt. „Wiersze powstańcze poszukują autora" podali Panowie utwór „Stare Miasto", jak i pewne uwagi odnoszące się do niego.

Podaję Panom jako autor cytowanego wiersza nazwisko swoje i adres. Jednocześnie chciałbym wyjaśnić, że wiersz powyższy, napisany w czasie powstania, wydrukowałem w wydanym w Niemczech zbiorze pt. „Czas wirujący", Northaim 1945, w ramach cyklu „Warszawa", obejmującym 20 wierszy. Znajduje się tam również wspomniany w artykule „Ostatni komunikat".

Poza tym chciałbym zaznaczyć i podziękować Autorowi artykułu za trafność uwag co do „Starego Miasta", gdyż wiersz ten napisany został przeze mnie u Wedla na ul. Szpitalnej i nie jest, jak twierdzono ogólnie, wypowiedzią członka tego marszu tylko widza — kolegi ze Śródmieścia.

Wiersza pt. „Fort Czerniakowski" nie spotykałem dotąd, ani zagranicą, ani w kraju, więc o autorze jego, prócz tego, że ja nim nie jestem nic czego powiedzieć nie jestem w stanie.

Co do „Rudego", to po przejrzeniu prasy krajowej wydaje mi się, że wiersze Jego zostały zniekształcone i połączone z wierszami innymi nie Jego pióra. Ponieważ przed pójściem do niewoli wymieniłem z „Rudym" swoje utwory, cztery (nie trzy) Jego wiersze mam ze sobą w wersji jeszcze wrześniowej z 1944 r. pisane przez samego Autora.

Wpływy „Rudego" zaznaczone przez P. Podlewskiego w „Starym Mieście", jak np. „zęby wilcze" (bo Chorał był naszym wspólnym bólem i zgryzotą), są uchwycone słusznie, gdyż z „Rudym" — Zbigniewem Jasińskim byliśmy blisko i w pewnym sensie oddziaływaliśmy na siebie jako piszący. Zresztą wiersz „Rudego" — „Żądamy amunicji" puszczony przez antenę Błyskawicy w świat — był wierszem tak silnym i tak prawdziwym w oddaniu nastroju i protestu walczących, że jako pierwszy musiał wywoływać silny oddźwięk.

Gdyby Panowie chcieli wiersze „Rudego" wykorzystać — służę nimi. Czuję się do tego upoważnionym.

Spośród innych nazwisk, mogę dać wyjaśnienie co Wojtka Janowicza, Mencla, nu zresztą poświęciłem w „Czasie wirującym" wiersz pt. „Sąd boży", napisany bezpośrednio po Jego śmierci.

Janowicz — Mencel był autorem Poematu o świętym Franciszku z Assyżu", treść którego znałem, gdyż z Janowiczem i Tadeuszem Pereświet - Sołtanem (obecnie współredaktorem „Kuriera Popularnego" w Łodzi) mieliśmy zamiar i przygotowywaliśmy w sierpniu 1944 r. wydanie powstańczej jednodniówki. Śmierć Wojtka, ranionego ciężko w brzuch na Marszałkowskiej, zlikwidowała nasze plany. Mencel miał zdaje się około 22 lat. Poemat Jego, o ile sąd Sołtana i mój może być miarodajny, wykazywał bardzo wysoki poziom pod każdym względem. Treści poematu nie mógłbym teraz odtworzyć, tekstu nie mam, gdyż i swoje utwory odnajdywałem strzępkami.

Podane przez P. Podlewskiego informacje odnoszące się do „Starego Miasta" są słuszne, gdyż wiersz ten powędrował w ręce kolegów już w czasie akcji i później spotykałem się zarówno w pismach, jak i zagranicznych antologiach, prawie zawsze, do chwili powrotu do Polski, z „autorem bezimiennym", „Rudym" i t. d. aż do „poległego na Starym Mieście — Wilka" (pseudonim mój brzmiał — Wilk).

Wydanie „Czasu wirującego" w pewnej mierze wyjaśniło te pomyłki, gdyż mogłem zgodzić się na inny pseudonim, nawet na poddawanie wiersza autorstwu Przyjaciela, lecz w żadnym wypadku nie miałem zamiaru zgadzać się na nawet papierowe uśmiercanie mnie.

Akcja zainicjowana w „Dziś i Jutro" przez P. Podlewskiego, mająca na celu powiązanie wierszy powstańczych z autorami i oddanie przez to czci poległym Kolegom, wydaje mi się ze wszech miar istotna i cenna.

Powtarzając gotowość ewentualnego służenia wyjaśnieniami dalszymi, jak też własnymi utworami łączę wyrazy szacunku i pozdrawiam

Ubysz Mieczysław

Ubysz Mieczysław, Warszawa, Grochów, ul. Kobielska 54 m. 5. „Czytelnik" Instytut Kult. - Oświat. Sekcja Badań, Daszyńskiego 12. I piętro.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego".

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Uprzejmie proszę o pomieszczenie poniższych uwag w poczytnym piśmie.

Ukazała się na półkach księgarni krakowskich książka ks. Dąbrowskiego „Dzieje Pawła z Tarsu", wywołuje niemiłe wrażenie w oglądającym, z powodu wielce nieodpowiedniej okładki.

Umieszczona na niej postać symboliczna, mająca z pewnością przedstawiać tego, o kim w książce mowa, a więc Św. Pawła trzyma w ręku księgę i wsparta oburącz (o dziwo!) na... mieczu!

Podobieństwo dość znaczne do przedstawień wyobrażających Bolesława Chrobrego w sztuce (gdyby bez księgi), który istotnie mieczem walczył tego... ale miecz w ręku Świętego?

Człowiek lubi spokój. Widok narzędzi zbrodniczych, może szczególnie po świeżych wspomnieniach barbarzyństwa ostatniej wojny, wywołuje niemiłe uczucie. Ale nie to tylko — chodzi o prawdę! W ręku Św. Pawła nie zadziwiłby kij podróżniczy, lub prócz księgi, któreś z narzędzi rzemieślniczych, używanych przez niego w codziennej pracy. — ale nigdy nie miecz, nie szabla, nie oszczep!

Czy należało dawać, (choćby tylko w symbolu) po odległości wieków do rąk miecz temu, który rzekł: „Obleczcie się w zupełną zbroję bożą... przepasawszy biodra swoje prawdą i obiekłszy się w pancerz sprawiedliwości, i obuwszy nogi w Ewangelii pokoju, a nade wszystko wziąwszy tarczę wiary, którą byście mogli zgasić wszystkie ogniste strzały złego... i przyłbicę zbawienia, weźcie i miecz ducha, którym jest Słowo Boże!" (List o Efesów R. 6).

Projektodawca okładki zawiódł najzupełniej. To jest pomyłka — lecz błędy tego rodzaju są niedopuszczalne.

Ideologia łagodności, miłosiernego serca, wyklucza pojęcie idei przemocy orężnej! Używanie poświęconych mieczy do walki z „wrogami" — to naleciałość późniejsza — to nie czysty duch Wiary Bożej młodego chrześcijaństwa.

Stała czytelniczka M. G.
Kraków

KSIĘGARNIA

ŚW. JACKA

KATOWICE, UL. 3-go MAJA 18

POLECA NOWOŚCI !

Elżbieta Burger — 40 lat w służbie bociana,
str. 276 — cena zł 520.—

W książce tej Autorka porusza tematy z życia małżeńskiego i rodzinnego najróżniejszych warstw społecznych. Tematy te, nieraz bardzo drażliwe, ujmuje w sposób odważny i równocześnie bardzo sympatyczny i chwytający za serce.

Pierwszorzędna lektura dla młodych małżeństw i dorosłej młodzieży.

Maria Wardasówna — Rekord Władka Dzięcioła,
str. 152 — cena zł 280,—

O książce pisze J. Meissner:

Przygody Władka Dzięcioła toczą się wartko, niby ciekawy film, przenosząc bohatera wraz z czytelnikiem z ubogiej sutereny w Warszawie na Ziemie Odzyskane i do Czechosłowacji, skąd wraca jako zwycięzca, by zdobyć jednocześnie stanowiska instruktora szybowcowego.

O. Woronecki — Św. Jacek Odrowąż, str. 348 — cena zł 800,—

Jest to pierwsza w nauce polskiej wyczerpująca monografia o wielkim polskim Świętym, rodowitym synu Ziemi Opolskiej i patronie Ziemi Śląskiej. Autor pracował nad nią niemal 30 lat, dając monumentalne dzieło, które krytyka przyjęła bardzo pochlebnie.

Fr. Gryglewicz — Ewangelie i Dzieje Apostolskie,
str. 492 — cena zł 350,— brosz.
opr. zł 540,—

Ks. Gryglewicz przetłumaczył z oryginału greckiego w sposób nowoczesny, a jednak zupełnie wierny te najpiękniejsze księgi ludzkości, usuwając wiele dotychczasowych niejasności stylistycznych i językowych.

R. Guardini — O Bogu Żywym,
str. 74 — cena zł 150,—

Rozważania światowej sławy pisarza katolickiego na tematy związane z istotą Boga i stosunkiem człowieka do rzeczy Bożych, napisane w sposób bardzo nowoczesny.

Dnia 15 maja r.b. o godz. 9.15 w kościele parafialnym w Brwinowie koło Warszawy odbędzie się Msza św. za duszę

ś. † p.

ADAMA SOSNOWSKIEGO

ppor. AK pseudo „Grot" odznaczonego Krzyżem Walecznych, poległego w walce z Niemcami dnia 15 maja 1943 r. pod Hołowienkami, pow. Sokołów Podlaski.

O czym zawiadamiają

KOLEDZY

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 889-71. Konto P.K.O. Nr. 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-50056

J. J. Szczepański

Przyczynki do Sprawy Wolfa

8

ALE którejś niedzieli, już z końcem lipca zjawił się na grobie Wolfa ksiądz z sąsiedniej parafii w otoczeniu chłopców z tutejszej placówki. Poświęcono miejsce i złożono pod krzyżem wieniec z biało - czerwonym wstęgami.

Po tym akcie, pamięć wypadku zaczęła przygasać... Mieliśmy w okolicy bitwy i pacyfikacje. No i tak... minęło.

Nie dla wszystkich, nie dla wszystkich proszę pana.

Ot, i jeszcze taki drobny, znaczący fakt. Podczas wielkich porządków robionych ostatnio, znalazłyśmy w tym foteliku, na którym pan Wolf siedział owego pamiętnego wieczoru, szereg pogniecionych, zapisanych maszynowo kartek. To były jakieś instrukcje, rozkazy, raporty... Spaliłyśmy to wszystko. Pamiętam tylko, że niektóre z tych świstków podpisane były „Matylda"

Musiał się tego pozbyć, czytając z takim pozornym zajęciem tę jakąś książkę z Grenlandii.

Więc wiedział. Wiedział. On jeden wiedział co mu grozi i odchodząc od nas patrzył już śmierci prosto w oczy.

Ale powiedział, że przyjdzie, więc przyszedł. Taki był pan Wolf proszę pana.

ZEZNANIE BABKI

Pani Świtalskiej nie zastałem w domu. Musiałem poprzestać na rozmowie z babką Wolfa, zeschłą, wątlutką staruszką, popłakującą co chwila bezradnie, jak dziecko.

Pokój, w którym mieszkają obie kobiety, a kiedyś mieszkał także i Wolf, stanowi część mieszkania pewnego lekarza i wchodzi się tam przez poczekalnię, gdzie pod ścianami czają się zastrachani pacjenci.

Ciemno tu jest, mimo, że pokój jest narożny i posiada dwa duże okna. Ale jedno z tych okien ocienia wybujały, uliczny kasztan, drugie patrzy wprost na szarą fasadę wielkiej, secesyjnej kamienicy.

Wnętrze przedstawia obraz typowego, wojennego prowizorium. Liczne walizy, kosze i pudła piętrzą się po kątach, zawalają wierzch szafy, wystają kanciasto spod łóżek. Idzie od nich łaskocząca woń naftaliny, woń zabalsamowanych ubrań, z których człowiek wyfrunął, jak motyl z larwy. Smutny ten pokój. Ciasny, zatęchły, pełen dużych, niewygodnych mebli, między którymi lawirować trzeba umiejętnie i ostrożnie.

Niedobre takie przegrzane gniazdo, dla ptaka lubiącego wiatr, słońce i lody.

Jedyne miejsce trochę przejrzystrze, to to, gdzie pod oknem stoi mały stolik na staroświecko wygiętych nóżkach. Na jego orzechowym, nie nakrytym blacie leży mała fajeczka Romana i tekturowa teczka z owymi zdjęciami płatków śnieżnych, o których opowiadał mi Szary.

Tu, przy tym stoliku Wolf się uczył. Teraz to jest jego mauzoleum, źródło zawsze żywych wspomnień i niegasnącego cierpienia.

— — — — — — — —

— Tu bardzo ciemno — mówi babcia, — trudno się przyzwyczaić. Ale właściwie to w moich oczach jest ciemno. Ja proszę pana już nawet cerować nie mogę. Jeszcze co większa łata, to przyszyję od biedy, ale i to nie zawsze. Bywają takie dnie, że mi się trochę przejaśnia. Jakby jakaś mgła zeszła. Tylko, że to rzadko.., coraz rzadziej.

Tak naprawdę, to ja już nic robić nie mogę. Zosia cały dzień w pracy, a ja samiutka tutaj, ot siedzę. Siedzę sobie na tej sofce, na której nasz Romeczek sypiał i wspominam i płaczę... Jak Zosia jest, to nie pozwala mi płakać, gniewa się na mnie. Doktór też zabronił. Mówi, że to źle na moje oczy. Ale co komu po moich oczach proszę pana? Mnie one już dawno zdradziły. Opowiem panu.

Bo to pan wie, jak z naszym chłopcem było? Jakie nieszczęście? Pan mówi, że pan specjalnie bada tę sprawę. Co tu badać? Czy to się przyzna taki co zabił?

Romek taki był uparty. Ciągle ta polityka i polityka; jakieś wyjazdy, zebrania, papiery... Nieraz mu mówiłam: Romeczku daj pokój. Cóż ty tu poradzisz? Patrz, takie potęgi się biją, z tymi wszystkim aeroplanami, tankami, armatami, cóż ty tutaj masz jeszcze do roboty? Daj spokój. Polska i tak będzie, zobaczysz.

To on tylko śmiał się ze mnie, a czasem to i zniecierpliwił się nawet.

— Sama się nie zrobi babciu, — mówił, — trzeba jej pomóc.

— No i co pomógł? Czy tej Polsce było koniecznie potrzebne, żeby on zginął. Co ta Polska będzie miała z tego, niech mi pan powie?

No, ale jak się tak już uparł, to nie można mu było zabronić. Był przecież dorosły. I zawsze bardzo był samowolny.

Nigdy nie wiedziałyśmy z Zosią, co on nagle postanowi.

Czasem wróci z biura, rzuci teczkę na sofę i mówi: „Mamusiu, daj co zjeść — wyjeżdżam". — Bójże się Boga chłopcze, dokąd? — Do Zakopanego, albo do Warszawy, albo jeszcze gdzie indziej. A kiedy wracasz? — Nie wiem. I prędko, prędko! Już się śpieszy, już leci na pociąg. A nieraz to w ogóle nie powiedział gdzie jedzie.

Potem czekałyśmy całymi dniami, niepokoiłyśmy się okropnie...

A bywało tak, że był w Krakowie, a nie pokazywał się w domu. Ludzie widywali go na mieście, ale nikt nie wiedział gdzie mieszka, co robi.

Ja się nie skarżę na niego proszę pana. Uchowaj Boże! To był taki kochany chłopak, taki dobry syn, taki troskliwy. Dla siebie nigdy nic nie chciał. Byle czym się zadowolił. Niech pan zapyta jego przyjaciół. Ile on ludziom dobrego wyświadczył! Ilu kolegom znalazł posady, mieszkania! Ile razy dał pieniądze, chociaż sam biedak nie miał ich za dużo! Mój Romeczek kochany... No jakże nie płakać? Oczy, oczy... te oczy i tak już go nie zobaczą.

Pod koniec, jak to zaczęło go gestapo szukać, to on już zupełnie wyniósł się z domu. Nawet wcześniej; co ja mówię? Już dawno się wyprowadził. Tylko, że z początku, to jeszcze wpadał od czasu do czasu, a potem, widywała go już tylko Zosia. Gdzieś tam mieli umówione takie swoje spotkania. No, a ja, to już nie wychodzę wcale, więc musiałam się z tym pogodzić, że on jakby na wygnaniu.

Nawet pod okna nie mógł przyjść, bo przecież śledzili za nim. To było straszne. Ale wiedziało się jeszcze, że on żyje.

Zwykle przyjeżdżał dwa, lub trzy razy w miesiącu. Wtedy przychodził tutaj ktoś z kartką i Zosia biegła w to jakieś miejsce, a ja siedziałam już jak na węglach, nie mogłam się już doczekać kiedy wróci. No i przybiegała taka rozjaśniona, taka szczęśliwa. — Zdrów — mówiła, — dobrze wygląda, kazał mamę uściskać. Dla mnie to już było jak najczulszy list...

Parę razy tak było, że się nie zjawił. To wtedy Zosia wiedziała, że trzeba iść do sklepiku tej panny Dory i tam zawsze czekało jakieś wyjaśnienie.

Takeśmy sobie konspirowali. A ja też byłam w spisku proszę pana. Bo dawniej, to ja byłam takim jego schowankiem na różne niebezpieczne papiery. Ja proszę pana bandażuję nogi, bo mnie żylaki dokuczają. Więc jak była w domu jakaś bibuła — on to nazywał „bibułą", — to on mnie dawał i mówił: „Babciu schowaj to". A ja kładłam to pod bandaże. Tam przecież nie będą szukać.

Nawet tak się kiedyś śmiesznie zdarzyło... wtedy, jak to przyszedł nas ostrzec ten jego przyjaciel Józek. U nas zrobiło się okropne zamieszanie, bo nie wiedziałyśmy o co chodzi. Jak tamten tylko powiedział: „niech się panie nie zlękną", tak Zosia od razu do niego: „co? Romek aresztowany? Niech pan mówi jak jest!" — „Nie" — on mówi, — „chwała Bogu nie, i nie będzie aresztowany, ale panie będą miały dziś w nocy rewizję". Były u nas w domu kulki do rewolweru. W tym zdenerwowaniu nie mogłyśmy ich znaleźć, a ten Józek się śpieszył, bo musiał jeszcze ostrzec Romka. No i taki zrobił się kołomąt, że ja na śmierć zapomniałam, że mam przecież na sobie jeszcze jakieś świstki. Nawet, jak on wyszedł, nie pomyślałam o tym, bo cały czas niepokoiłam się, czy on aby Romka znajdzie. Myśmy wtedy nie wiedziały gdzie Romeczek mieszka.

No i tak zeszło. Noc. My naturalnie nie śpimy, tylko modlimy się i czekamy. Wreszcie, koło drugiej taki straszny dzwonek. Ja panie kochany, wyskakuję z łóżka i nagle czuję, jak mi to wszystko pod bandażem szeleści. Mówię panu, zimny pot mnie oblał. A ci już w pokoju. Jak wściekłe psy. Zaraz z tymi swojemi maszynowymi strzelbami do nas, zaraz zaczęli przewracać walizki, pudła, szuflady... istny śmietnik zrobili. A jeden, co mówił po polsku, przypatrzył się mnie tak ostro i nagle zaczął się śmiać. „Cóż ty się tak trzęsiesz stara?" — mówi, — „przecież ciebie i tak nie weźmiemy". Tak mi powiedział. A ja właśnie miałam na sobie to wszystko. No, proszę powiedzieć... W ogóle tej nocy to ja przeżyłam, oj przeżyłam... Zosię zabrali do samochodu i wozili ją po całym Krakowie.

Odwieźli ją dopiero o świcie. I jeszcze na pożegnanie powiedzieli jej: „niech się pani kłania synowi od nas i niech mu pani powie, że my go i tak dostaniemy".

Byliby ją wzięli za niego. Tylko, że on nie był już zameldowany w domu, więc niby ona nie była odpowiedzialna.

Tym razem to się nam jeszcze wszystko udało. Córka spotkała potem parę razy tego Józka na ulicy i on za każdym razem jej mówił: „niech się pani nie boi o Romka. Jemu nic nie będzie. On ma niezwykłe szczęście."

Jak to nie można ufać takim rzeczom! A myśmy właściwie też na to liczyły. Bo on już od dawna lubił ryzykować. Na przykład te góry. Czy to trudno po prostu kark skręcić w takich skałach? Nieraz on nam pokazywał zdjęcia z tych swoich wspinaczek. Aż się zimno człowiekowi robi. Taka, proszę pana, golutka ściana, a na niej on, przylepiony nie wiem jakim cudem do głazu, a pod spodem przepaść. I jeszcze widać na zdjęciu, że on się uśmiecha. No, czyste wariactwo. Ja, to nawet nie lubiłam patrzeć na te fotografie.

Więc, jak się to wszysko trochę uspokoiło, to myśmy się nawet tak bardzo nie bały. Przyjeżdżał, był zdrów... jak już panu mówiłam.

Aż tu, któregoś razu, zamiast przyjechać w umówiony dzień, przysłał list. I w tym liście na końcu był taki dopisek. „Niczego sobie mamusiu nie odmawiaj. Sprzedaj mój aparat fotograficzny i maszynę do pisania, a jak trzeba to i lornetkę i cyrkle i co chcesz, żebyś tylko nie musiała się liczyć z pieniędzmi. Musisz się dobrze odżywiać, żeby mieć dużo sił, bo kto wie, co jeszcze wypadnie ci przeżyć."

Pan sobie wyobraża, jakie to na nas zrobiło wrażenie.

Ale następnym razem on znowu się zjawił zdrów i cały, a jak go Zosia pytała, co to miało znaczyć, to się tylko roześmiał i powiedział, że w takich czasach trzeba być przygotowanym na wszystko.

To było we wtorek. W piątek Zosia poszła gdzieś do znajomych, a ja jak zwykle siedziałam sobie sama i tak ot, czekałam... I wtedy przyszła jakaś obca pani i przyniosła kartkę od niego, że jest w Krakowie i że chce się z córką zobaczyć tam gdzie zawsze.

Ja nie wiedziałam gdzie Zosia poszła, ale nawet gdybym wiedziała, to przecież nie mogłabym jej dać znać, bo ja wyjść nie mogę.

Więc tak mi się smutno zrobiło, że Romeczek nadaremno będzie czekał i tak zatęskniłam nagle do niego... mój biedny chłopiec!

Cóż to za przykra rzecz jest starość panie kochany.

No więc tak martwię się i siedzę i dumam...

Aż tu nagle szyba zadźwięczała tak drobniutko. We mnie aż serce skoczyło. Bo to był nasz znak proszę pana.

On dawniej, jak wracał do domu, to nie dzwonił, tylko żwirem rzucał do okna. To dlatego, żeby nie denerwować doktorowej, naszej gospodyni. Ona bardzo niedobra kobieta. O wszystko nam robi awantury. Nieraz to i gestapem nas straszyła, bo mówiła, że Romek to bandyta — wywrotowiec, że on na cały dom nieszczęście sprowadzi.

No więc, jak usłyszałam ten znak, to od razu pobiegłam do okna, do tego tutaj, pod którym pan siedzi. I patrzę, patrzę...

Ale pan wie, u mnie oczy słabe. A jeszcze z tego wzruszenia łzy mi się rzuciły i już w ogóle nic dojrzeć nie mogę.

Widzę niby, ktoś stoi na rogu. Dla mnie człowiek z daleka, to każdy taki sam. Jak jaki cień we mgle. Patrzę, patrzę i modlę się, żebym mogła coś dojrzeć. Może z pięć minut tak stałam, a ten ktoś też stał tam na rogu. Wreszcie podniósł rękę, obrócił się i szybko odszedł. I wtedy zrozumiałam, że to był on.

KONIEC.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W Nr. 17 „Dziś i Jutro" p. Zygmunt Jakimiak był łaskaw zająć się pokrótce moją osobą. Zanim spróbuję odeprzeć postawione mi zarzuty, chciałbym powiedzieć parę słów o p. Jakimiaku, co dla całokształtu sprawy nie będzie niewątpliwie bez znaczenia. Otóż — pomimo wszystko bardzo cenię p. Jakimiaka. Uważam, że przy znanej swej pohopności do przedwczesnych syntez i do gwałtownych inwektyw, w powodzi których zaciera się czasem tok jego myśli, jest to człowiek żywy, nie „letni", lecz gorący, mający niejednokrotnie wiele ciekawych, trafnych i odkrywczych rzeczy do powiedzenia, a co najważniejsze — człowiek, u którego między wiarą, a czynem i myślą nie ma rozbieżności. Bardzo też się dziwię publicystyce katolickiej za jej bagatelizujący i obojętny stosunek do pisarzy typu Jakimiaka, czy Majdańskiego. Wytworzył się wobec nich specyficzny „facon d'etre", polegający na tym, że nie podejmuje się zasadniczej polemiki z ich ważkimi niewątpliwie tezami (Majdański), lecz pozostawia się ich na łup rozmaitych durnych wesołków prasowych, którzy wyzyskują niezręczności stylistyczne, lub drastyczność poruszanych problemów odnoszą tanie pseudo satyryczne sukcesiki. Prasa katolicka poza bodaj jedynym „Dziś i Jutrem" zachowuje w takich wypadkach z reguły dyplomatyczne milczenie. Bardzo to jest niewłaściwe, krótkowzroczne i małoduszne: dla kogo ważna jest istota problemu, a problemy moralne poruszane przez Majdańskiego są niewątpliwie dużej wagi, ten przejdzie do porządku nad niezręcznością formy, czy gwałtownością tonu — nie chodzi tutaj chyba o „salonowe maniery". To też, chociaż argumentację pp. Jakimiaka, czy Majdańskiego bardzo często uważam za błędną lub demagogiczną, a formę ich wypowiedzi za nieudolną — cały sercem jestem po ich stronie w walce z tymi, co to lubią „nabierać wody w usta", bez względu na to, czy takowi znajdują się wewnątrz obozu katolickiego, czy też poza nim.

Pochwaliwszy wroga, przejdźmy do ofensywy. Obok wymienionych powyżej zalet p. Jakimiaka widzę w jego publicystyce pewną bardzo zasadniczą wadę, wadę, wynikłą być może nie tylko z jego winy, lecz z nieświadomego ulegania atmosferze barbarzyńskich czasów, jakie przeżyliśmy. Wada ta, to namiętność p. Jakimiaka do mówienia z ogromnym tupetem i rozmachem o rzeczach, na których się absolutnie nie zna, do ukrywania luk w swojej edukacji, czy w swoich zainteresowaniach za zasłoną z krzyku, hałasu, efektownego ferworu. Żeby nie być gołosłownym, przypomnę szereg wypowiedzi p. J. na tematy muzyczne. Nie przeczę, że i tam trafiały się sądy interesujące, nie szablonowe, niemniej jednak ginęły one w powodzi elementarnych błędów rzeczowych, pomyłek i jawnych nonsensów — zwłaszcza pod tym względem wyróżniły się dwie recenzje muzyczne pomieszczone w „Dziś i Jutro" (jedna, o ile pamiętam, z recitalu Bandrowskiej), gdzie do zliczenia